

JUTRO NAUCI

PIĄTEK 26 LISTOPADA 2021



A GDYBYŚMY BYLI SZCZĘŚLIWI

PARTNER STRATEGICZNY



POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYK

A jeżeli nas wpuszczą do raju

ZARAZ ZHAK

Klimatolodzy, ekonomiści, genetycy – wszyscy mówią Księga Rodzaju



Dmitry Glukhovskiy

O gród, w którym żyli Adam i Ewa przed skosztowaniem owocu z drzewa poznania, był naprawdę wspaniały. Panował niezmienny kalifornijski klimat, problem głodu rozwiązywała obfitość rosnących wszędzie warzyw i owoców, nasi przodkowie nie musieli pracować ani kłopotać się obawami i pytaniami o sens życia, bo ich życie było wieczną młodością, nie znali chorób i słabości ani nawet śmierci. Jedynym problemem była nuda, bo w tym idyllicznym ślepym zaułku dwojgu pierwszych ludzi trudno było pozbyć się nadmiaru kortyzolu i adrenaliny. I właśnie ta adrenalinaowa chęćka kazała pierwszej kobiecie posmakować pierwszych psychodelików od pierwszego diler.

Co stało się potem, wiemy – napływ wiedzy, egzystencjalny horror, wyrok śmierci, zesłanie na nieprzyjazną, niezagospodarowaną ziemię, głód, zaraza, rodzinne swary, kazirodztwo, problemy spadkowe, nieporadne eksperymenty z rolnictwem i zoofilią, krew, krew, gwałty i znowu krew... Chciałem zakończyć obserwacją, że możemy za to cieszyć się radościami rozmnażania płciowego, ale jakoś się rozmyśliłem.

Przedantyczny Bliski Wschód, gdzie rozwinęły działalność wysiedlone z raju sapiensy, w niczym nie przypominał ich poprzedniego miejsca zamieszkania, ale przynajmniej było tam ciepło. Europejskie mroczne średniowiecze tym mniej przypominało rajske ogrody – brzydko pachniało, panował surowy kontynentalny klimat, więc nie wszyscy dożywiali wiosny, dżuma i cholera były na porządku dziennym, no i tak, kiła, bo zoofilia i kazirodztwo nie zanikły, a wzrosła gęstość zaludnienia, stąd rozlew krwi na wielką skalę, m.in. dzięki rozwojowi metalurgii i obskurantyzmu. Teksty kanoniczne i apokryficzne nie opisują tak zaświatów, ale w oczach współczesnego przedstawiciela cywilizacji judeochrześcijańskiej ówczesne życie codzienne przeciętnego Europejczyka wydobyłoby się istnym piekłem.

Średniowieczni Europejczycy byli sceptycznie nastawieni do nauk świeckich, więc topili i palili uczonych i badaczy, którzy nie mogli liczyć na osobistą ochronę monarchów. Ale nawet kościelne archiwa chronić trzeba było fortecznymi murami, bo tam, gdzie księgi, tam też, rozumie się, czarnoksiężstwo... Ogólnie rzecz biorąc, wydaje się, że „mroki średniowiecza” miały niewiele wspólnego z problemami z oświeceniem.

Każdy, kto przez całe życie stykał się z ludźmi, a przynajmniej uczył historii w szkole, może dojść do wniosku, że żyjemy po kolana w gównie, ustawicznej nerwówie wojen światowych, totalitarnych dyktatur, dzikiego kapitalizmu, kazirodztwa, sodomii i wiecznie triumfującego obskurantyzmu, które są naturalną tkanką naszej egzystencji. A jednak cały czas coś powstrzymywało przedstawicieli judeochrześcijańskiej cywilizacji przed

UJEMY BOGA

całkowitym wzajemnym unicestwieniem. Coś nie dawało nam uznać smrodu, krwi, głodu i zarazy za przeznaczoną nam przez naturę harmonię.

Głupia opowieść o rajskim ogrodzie tkwi podkorowo w naszych głowach. Diabelsko kusząca, ale też diabelsko uparta. Wykształciła w nas wygórowane oczekiwania, wpoila całkiem niestosowne wyobrażenia o godnych człowieka warunkach życia. Nie pozwoliła przystać na marne warunki życia i niską średnią przeżywalność, niewolniczą pracę, zarazy i ludobójstwo.

Owładnięty religijnym mitem człowiek czuł, że pisane jest mu życie w raju ze wszystkimi jego udogodnieniami i przysługującym pakietem socjalnym. Dlatego swoją nieszczęsną ziemską egzystencję uznał za karę za niektóre swoje zupełnie naturalne, a przynajmniej wro-

Jednak nieprzenikliwość czarnej kurtyny przeraża, a oferta handlowa kościołów i monarchii irytuje brakiem gwarancji. Dlatego postęp po cichu zwyciężał. Co zabawne, siły postępu – edukatorzy, naukowcy, wynalazcy i filozofowie humaniści, w tym krytycy religii – wciąż próbują osiedlić ludzkość w rajskim ogrodzie. Nasze obecne rozumienie pożądanego modelu przyszłości to po prostu powtórzenie współczesnym językiem pierwszego rozdziału Biblii.

Kiedy chcemy naprawiać szkody wyrządzone środowisku i zmienić świat w miejsce harmonijnego współżycia człowieka z naturą, w istocie mówimy o powrocie do ogrodu. Postulat rezygnacji z hodowli – w sytuacji idealnej bez wyrzekania się białka zwierzęcego, np. dzięki hodowli włókien mięśniowych na pożywce – to także powrót do wegańskiej etyki raju.

Rozważania o zniesieniu obowiązku pracy dzięki wprowadzeniu bezwarunkowego dochodu podstawowego zbliżają nas w du-

te z przedstawień raju, usprawiedliwiając zarazem represje i ludobójstwo jako przymus niezbędny wobec tych, którzy rzucają kłody pod nogi kolumnom maszerującym ku zasłużonej wiecznej szczęśliwości.

Lecz z jakiegoś powodu zmierzająca do raju ludzkość trafia zawsze na próg piekła. Kipiąca w człowieku moc przedsiębiorczości i eksploracji, chęć zbliżenia swej nędznej ziemskiej egzystencji do niebiańskich standardów doprowadziła do wynalezienia rachunkowości, antybiotyków, silników spalinowych i nawozów fosforowych, ale też gazów bojowych, komory gazowej, broni bakteriologicznej i systemów kompleksowego nadzoru z wykorzystaniem sztucznej inteligencji.

Jednak mimo zawirowań urok legendy o raju i przemożna chęć powrotu zaprowadziły nas całkiem daleko wiodącą doń krętą, rozgałęziającą się ścieżką. Tak daleko, że nasze dzisiejsze życie wydałoby się mieszkańcom średniowiecznej Europy może nie samym rajem, ale czymś bardzo mu bliskim. Jesteśmy, towarzysze, na dobrej drodze.

Może nasze pokolenie nie dożyje komunizmu, przepraszam, raju, ale już nasze dzieci mają po temu wszelkie szanse. Wystarczy tylko wprowadzić bezwarunkowy dochód podstawowy, wybrać Gretę Thunberg na sekretarz generalną ONZ i wyłączyć genetyczne mechanizmy zaprogramowanego starzenia się naszych organizmów.

Rodzi się jednak pytanie: co będziemy robić w tym raju? Jak rozweselimy naszą niespokojną naturę, kiedy nie będzie już chorób, wojen ani nędzy i nawet zoofilia stanie się niemożliwa, bo co robić z hodowanymi na pożywce włóknami mięśniowymi?

No tak. W piekle przynajmniej nie jest nudno. Wiedział pierwszy diler, za co nas kupić. ●

przeł. Sergiusz Kowalski

Dmitry Glukhovsky

• ur. w 1979 r., korespondent wojenny, dziennikarz (pracował dla Euronews, Deutsche Welle i Russia Today), autor postapokaliptycznego cyklu „Metro” („Metro 2033”, „Metro 2034”, „Metro 2035”), społecznej powieści s.f. „FUTU. RE”, zbioru opowiadań „Witajcie w Rosji”, thrillera metafizycznego „Czas zmierzchu” i kryminału technologicznego „Tekst”. Wiosną ukazał się „Outpost”, dystopijna powieść o rozpadającej się Rosji, kilka dni temu miał premierę „Outpost 2”.



• „Outpost”, „Outpost 2”, Dmitry Glukhovsky, przeł. Paweł Podmiotko, wyd. Insignis

JUTRONAUCI 2021. NOWA NORMALNOŚĆ

• Wyzwania, które postawił przed nami rok 2020, trwają i stały się codziennością. Chcemy o nich opowiedzieć inaczej niż do tej pory. Jak zawsze wybiegamy w przyszłość, ale w tej jubileuszowej, piątej edycji nie pytamy: „Co się zdarzy?”, lecz: „A co, jeśli...?”.

• Na Wyborcza.pl/jutronauci oraz na łamach Wyborczej czekają na Państwa podcasty, eseje i analizy. W tym roku co miesiąc zaprosimy was także do spotkania Jutronauci Talks – na żywo online.

• Ostatnie spotkanie z tej serii odbyło się 24 listopada. Z Jędrzejem Kowalczykiem, prezesem firmy Fanuc zastanawialiśmy się, gdzie są granice poznania robotów. Dlaczego niektóre z nich boją się kaczek? Jak uczą się roboty i czy będą potrafiły więcej niż człowiek? Zapis tego spotkania znajduje się na Wyborcza.pl/jutronauci.

• Z kolei już 29 listopada zastanowimy się, jakie są granice kontroli pracowników na pracy zdalnej. Czy można śledzić ruchy myszki, żeby mieć pewność, że pracownik pracuje (a przynajmniej siedzi przy komputerze), zamiast grać w gry?

• Jak przez minione cztery lata naszym i Państwa partnerem w tej podróży jest Sebastian Kulczyk. Nasze wcześniejsze próby kreślenia scenariuszy możecie znaleźć w książce „Jutro jest teraz”, która jest dostępna na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl



PARTNER WSPIERAJĄCY:

FANUC

zione, skłonności. Były dwa wyjścia z sytuacji: wymodlić przebaczenie lub zhażkować system.

Religia przekazała nam zrozumiałe instrukcje powrotu do raju – pokora, ideowo-polityczna lojalność, podatek kościelny (swoją drogą tylko dziesięć procent, zupełnie po bożemu!) plus pewne praktyki duchowe. Splaty w tym życiu, a wynagrodzenie w pozagrobowym, za czarno aksamitną kurtyną śmierci. Trochę trudno przetestować to empirycznie, ale dziesiątki pokoleń były zadowolone z systemu, tkwiły w nurcie czasu i nie próbowały niczego zmieniać po tej stronie kurtyny.

Ponadczasowość ma swoich beneficjentów: monarchie, autarchie i instytucje religijne. Tradycja działa zawsze na korzyść konserwatywnych elit. Postęp leży zawsze w interesie pokrzywdzonych. Ci, którzy mają gorzej, są też zwykle gorzej poinformowani, bo edukacja kosztuje. Często więc i oni stoją na straży obскурantyzmu – co więcej, tradycje obiecują im zachowanie tego, co zdołali zgromadzić, a postęp grozi, jak slysza, podmiem resztek gruntu pod nogami.

żej mierze do idyllicznego statusu utrzymania, jaki mieliśmy w rajskim ogrodzie.

Nigdy też tak naprawdę nie polubiliśmy naszej śmiertelności i mimo obietnic religii monoteistycznych ludzie dążyli zawsze intuicyjnie do przedłużenia swego pobytu na tym jedynym fizycznie pewnym świecie. Zwiększywszy oczekiwaną długość życia do rozmiarów wręcz nieprzyzwoitych według średniowiecznych standardów, współczesny człowiek zamierza pożegnać się ostatecznie ze starością i szykuje się do genetycznej interwencji w swą naturę – chce, by stworzenie stało się swym własnym Stwórcą.

Program oferowany przez postępców to, jak się bliżej przyjrzyć, powrót do raju. Wątek ruchu naprzód okazuje się mitem o powrocie do źródeł, pragnieniem cofnięcia się do łona matki, z którego zostaliśmy wygnani do okrutnego, zimnego świata zewnętrznego.

Ludzkość nie wydaje się cierpieć na brak wyobraźni, ale od wszystkich wizji przyszłości, które oferują nam Stanisław Lem, Philip K. Dick, Elon Musk i Netflix, wciąż wolimy stary, dobry Eden. Nawet totalitarne dyktatury sprzedają na swoich propagandowych plakatach obrazki przyszłości żywcem wzię-



A jeśli brakuje nam wyobraźni

MY JESTEŚMY CI WSPÓŁCZUJĄCY

To też jest podział, i to chyba najdrastyczniejszy, bo wtedy po drugiej stronie z definicji
stoją Nieludzie: **indywidualizm pozbawione współczucia**

Z **JACKIEM DUKAJEM*** ROZMAWIAJĄ
EWA WIECZOREK I **MICHAŁ NOGAŚ**

Michał Nogaś: Poeta i filozof Jarosław Mikołajewski mówił ostatnio w podcaście „Wyborczej”, że wbrew teozom o końcu duchowości w ostatnich latach wszyscy – jako ludzkość i jako jednostki – toczyliśmy grę o metafizykę i w ogóle podejście do religii. Bo dziś ludzie ścigają się z czasem i z samymi sobą tylko po to, żeby przed śmiercią móc uwierzyć. Tak w ogóle i w to, że jednak dostąpią zbawienia.

JACEK DUKAJ: Nie do końca się zgodzę. Na co dzień właściwie nikt nie wierzy, że kiedykolwiek umrze. Kultura i duchowość średniowiecza była skupiona na fenomenie

śmierci; ona nadawała wagę realu wszystkiemu innemu. Dzisiaj śmierć jest rodzajem wirtualnego żartu.

Ewentualnie przykrego dodatku do życia.

– Może się zdarzy, może nie, a może ją oszukamy. Najsilniejsza współcześnie praktyczna metafizyka Zachodu skupia się na technologiach nieśmiertelności; jej najwierniejszymi wyznawcami są miliarderzy Silicon Valley, przekonani, że znajdą sposób na oszukanie śmierci. „Śmierć to choroba. Istnieje lekarstwo”.

Zaczęło się to dobre pół wieku temu od bardzo prymitywnych metod kriogenicznych – zresztą niektóre do tej pory są dostępne. Nadal istnieją firmy oferujące ta-

ką usługę: w dowolnym momencie przyjadą do ciebie i zamrozą albo całe twoje ciało, albo wyłącznie głowę. I będą ją przechowywać przez tysiąc lat – aż do teoretycznego wskrzeszenia.

Zamrozić potrafią. Ale czy po odmrożeniu odtworzą osobowość, umysł, strukturę kognitywną tego zmarłego? Milionerzy w to wierzą. Kto bogatemu zabroni?

Ale kriogenika jest już jednak *passé* w Silicon Valley.

Ewa Wieczorek: W jednej z pana książek przeżywa się dzięki wskoczeniu w internet.

– Bo inna ścieżka ku nieśmiertelności to oczywiście digitalizacja, ona dziś jest na topie wśród technobaronów. Przekonanie, że

nasza świadomość, nasza pamięć jest po pierwsze kwantyfikowalna, po drugie...

Że da się bez ciała.

– Jeden z argumentów przeciwko samoświadomości maszyn brzmiał tak: samoświadomość musi być nierozłącznie związana z biologicznością, a więc z definicji nie może istnieć samoświadomy byt oparty na wartościach dyskretnych, czyli zerach i jedynkach procesowanych w maszynie. Tymczasem żeby w ogóle móc przenieść umysł na takie czy inne nośniki komputerowe, przede wszystkim musi on być kwantyfikowalny, czyli właśnie sprowadzalny do zer i jedynek. Jeżeli nie jest, jeżeli jest przypisany do analogowego, biologicznego ciała, to przejście

będzie w ogóle niemożliwe. I tego dylematu do tej pory nie rozstrzygnięto. Toteż mówimy o bardzo arbitralnym założeniu – przyjmuje się je na początku, żeby wszystkie inne kroki w rozumowaniu były w ogóle możliwe.

Następny warunek do spełnienia: czy jest możliwe czytanie i skopiowanie tego zapisu dyskretnych stanów mózgu. Zakłada się, że można tego dokonać, uwzględniając położenie każdego z neuronów i ich wzajemne relacje oraz mapując przepływy elektryczne między nimi w momencie skanu.

Trzeci warunek to bezstratne odtworzenie i uruchomienie tej kopii jako symulacji zero-jedynkowej i żeby ta symulacja reagowała na takie same bodźce dokładnie tak samo jak twój umysł pracujący w mózgu biologicznym.

Jeśli spełnisz te trzy warunki, osiągasz nieśmiertelność jako byt cyfrowy.

Ostatnio oglądałam serial „Katla”, bardzo lemovski. Pojawiają się w nim postacie, które wydają się żywe, ale na końcu okazuje się, że są zbudowane z tego, co zostało zapisane w naszych umysłach albo w sieciach. Czy możemy być odtworzeni z tych resztek, które zostawiamy po sobie?

– Filozoficzny wymiar tego pytania jest następujący: czy to my jesteśmy odtworzeni, czy tylko nasz obraz, wystarczająco dobry, by oszukiwać innych. Czy to coś tam w środku myśli i czuje tak jak ja teraz, czy to tylko awatar, który bardzo dobrze zwodzi innych, że to nadal jestem ja, podczas gdy wewnątrz niego nie zachodzą żadne procesy świadomości.

Mamy też bardziej wysublimowany wariant cyfrowej nieśmiertelności, czyli teorię nieskończonych symulacji Nicka Bostroma, wedle której cały nasz wszechświat jest symulacją procesowaną na komputerach wszechświata wyższego rzędu. A on jest procesowany na komputerach wszechświata jeszcze wyższego rzędu, i tak być może w nieskończoność. Tak naprawdę jest to cały system metafizyczny, właściwie nieobalalny, o wszystkich cechach religii – albo w to wierzysz, albo nie. Ale dla umysłów wdrożonych do myślenia kodem komputerowym, do operowania na abstrakcjach, na teoriach matematycznych, ma on wielką siłę perswazyjną.

Wzmocnioną jeszcze argumentem przez analogię: że przecież my, ludzie, sami już prawie potrafimy budować takie symulacje, gdzie pojawia się wewnętrzna ewolucja, oczywiście ewolucja bytów bardzo prymitywnych, ale posiadających wiele cech organizmów żywych.

Wybuchło to około dwudziestu lat temu, gdy Stephen Wolfram w opasłej książce „A New Kind of Science” opisał swoje eksperymenty z grami w życie w automatach komórkowych. Brał prosty schemat, np. 10 na 10 komórek, każda przyjmująca tylko dwa stany, zero-jeden, które się zmieniają w zależności od stanu sąsiednich komórek. Prościutki algorytm, ale on go powtarzał miliardy, biliony, tryliony razy. I z tych prostych algorytmów...

Rodzi się życie.

– Coś jakby życie. Które przejawia cechy roślinne, zwierzęce. Więc skoro my już jesteśmy w stanie zrobić coś takiego na naszych prymitywnych maszynach...

Jesteśmy już trochę bogami.

– A umysłem przyzwyczajonym do myślenia kodem nietrudno uwierzyć, że wobec tego my sami jesteśmy symulacją wyższego rzędu. To jest już religia niemal w dosłownym sensie.

M.N.: W „Anomalii”, która dostała nagrodę Goncourtów w zeszłym roku, a teraz ukazała się w Polsce, Hervé Le Tellier opisuje lot Air France z Paryża do Nowego Jorku. Samolot ląduje w marcu, a potem w czerwcu ląduje dokładnie ten sam samolot, dokładnie z tymi samymi ludźmi na pokładzie.

– Czyli błąd w programie.

I pojawia się mnóstwo pytań moralnych, co zrobić z tymi ludźmi? Oraz – że może jednak jest nad nami Coś?

– Jak powiedziałem, to religia. Chociaż z tą nieobalalnością teorii Bostroma przesadziłem, bo istnieje dowód pokazujący warunki brzegowe takich symulacji – pewnej ich kategorii. Nie przytoczę teraz detali, w największym zarysie: trzeba zejść do naprawdę bardzo małych wielkości i sprawdzić, czy polaryzacja cząstek elementarnych o pewnych cechach jest symetryczna, czy niesymetryczna. Ale w praktyce jeszcze nie przeprowadzimy takich testów.

E.W.: To ja zapytam tak grubo: czy nauka jest tym, co może nas ocalić?

– Pozytywistycznego mitu, że nauka sama w sobie jest bezwzględnie dobra i doprowadzi nas do utopii, pozbyliśmy się kilka dekad temu. Dziś zakładamy, że jest po prostu narzędziem, które może dać tyle dobrego, co złego. Choć może z przewagą złego, ponieważ w dużym stopniu postęp technologiczny rządzi się sam sobą, więc siłą rzeczy jest nieskorelowany z aktualnymi systemami wartości. Bo nie ma żadnego gremium ani jednostki zdolnej wybrać kierunek jego rozwoju; po prostu coś spada na nas z góry: odkryli to, zaimplementowali, i teraz żyjemy w tak odmienionym świecie.

Ale można zadać pytanie: czy istotnie te odkrycia i wynalazki są konieczne niczym prawa logiki i matematyki, jak twierdzenie Pitagorasa, dla których nie ma alternatywy, czy też są czymś, co tylko konstruujemy, pozostając niewolnikami rozmaitych uwarunkowań? Edynburska szkoła socjologii nauki głosi, że tak naprawdę nie ma różnicy między alchemią i fizyką kwantową, bo nie odkrywamy praw natury, tylko je tworzymy. Tak więc mamy takie radykalne teorie, że cała nauka, której owocami jesteśmy otoczeni, jest w istocie niekoniecznym produktem zachodniej, białej, męskiej kultury.

I łączy pieniądza.

– Bardziej chodzi o to, że konkretne doświadczenie życiowe – w tym przypadku doświadczenie bycia białym mężczyzną z europejskiej kultury, bo nimi było 90 procent badaczy i inżynierów budujących naszą technologiczną rzeczywistość – kieruje twoją uwagę na te, a nie inne rzeczy, zjawiska, sposoby myślenia. Więc – mówią propagatorzy tej teorii – gdyby to były kobiety, ludzie czarni, z innej kultury, mielibyśmy inną fizykę, inną informatykę, inną chemię, czyli inne technologie do codziennego użytku.

M.N.: To może być argumentem dla przeciwników szczepień.

– Nie do końca, bo jednak nasza technologia działa. Samoloty latają, komputery liczą, leki leczą. Z tego można wysnuć wniosek, że te odkrycia są obiektywnie prawdziwe.

Oczywiście można odeprzeć i ten argument, a to w ten sposób: że leki rozwinięte z innych chemii także by leczyły, a komputery rozwinięte z innych fizyk także by poprawnie wykonywały obliczenia. Wieloma drogami można dotrzeć do Rzymu. Na wiele sposobów można opisać jedną naturę rzeczywistości.

E.W.: Chociaż antyszczepionkowcy nie idą tak daleko, zadowalają się spiskiem i kłamstwem.

– Nie sądzę, by w ogóle istniał taki antyszczepionkowiec archetyp. To raczej medialna etykieta, równająca wszystkich sceptycznych wobec rządowego przekazu do najbardziej radykalnej i karykaturalnej wersji oporu wobec przymusu szczepień. Tymczasem spora część tych ludzi krytykuje nie sam wynalazek szczepień, ale sposób, w jaki zachodnie rządy komunikowały się ze społeczeństwami, jak wprowadzały obostrzenia, regulacje i zalecenia, zakres tych ingerencji państwa w osobistą wolność, ich konsekwencje. Oraz pyta o re-

lacje rządów z korporacjami farmaceutycznymi.

M.N.: Okej, ale na końcu jest ten płyn, który wstrzykiwany do organizmu może nas uchronić przed śmiercią.
– Może albo nie może.

No wiadomo, że może nie, ale warto podjąć próbę.

– A to jest kalkulacja probabilistyczna i każdy powinien ją przeprowadzić samodzielnie.

Argument, który wywraca to libertariańskie podejście, odwołuje się do poczucia wspólnotowości – że nie robisz tego dla siebie, tylko żeby zwiększyć przeżywalność, zdrowie oraz dobrostan całej wspólnoty.

I tu zaczyna się bardzo skomplikowany rachunek, ponieważ tak naprawdę chodzi o to, jakim rodzajem wspólnoty jesteśmy. Chodzi o wartości, na których fundujemy nasze życie społeczne. Jeśli bardziej sobie cenisz wolności osobiste, kalkulacja wypada tak; a jeśli bardziej cenisz wartości wspólnotowe – inaczej. Wolność wiąże się bowiem z ryzykiem; w różnych kulturach różnie się te wagi układają. I widzimy przecież, jak różne są reakcje na te same zarządzenia w różnych państwach, ba!, w różnych stanach USA.

Wedle teorii nieskończonych symulacji Nicka Bostroma cały nasz wszechświat jest symulacją procesowaną na komputerach wszechświata wyższego rzędu. A on jest procesowany na komputerach wszechświata jeszcze wyższego rzędu

Myślę, że powodem tak masowego oporu wobec szczepionek jest to, że nikt w Polsce takiej rachuby otwarcie nie przeprowadził. Nikt w ten sposób nie rozmawiał ze społeczeństwem. Założono, że wszyscy mają ten sam system wartości i że na dodatek jest to system preferowany przez klasę rządzącą. I że wobec tego pozostaje tylko egzekucja tych wartości, coraz bardziej siłowa.

Gdyby jeszcze nasi rządzący sami tworzyli te strategie, pewnie lepiej by one pasowały do map mentalnych polskiego społeczeństwa. Ale oni głównie kopiowali rozwiązania ze świata, motywowani przede wszystkim lękiem, o co by mogli zostać oskarżeni przez opozycję, jeśliby postąpili inaczej, i że przegrają wybory, jeśli nie zrobią tego samego, co robi symboliczny Zachód, czyli głównie Niemcy.

Czyli co, lepiej jak na Wschodzie, autorytarnie, bo wtedy jednostka nie ma nic do gadania?

– Nie. Chińczycy mają inny bagaż doświadczeń, inną pamięć historyczną; to inna kultura. Są w stanie tolerować znacznie większy stopień rządowej kontroli, żeby znowu nie nastąpiła epoka głodu, podziału kraju, rozpadu, upokarzającego podporządkowania „barbarzyńcom”. Inaczej też rozkładają ambicje – bardziej na rodzinę, klan niż na jednostkę.

Jeśli tak myślisz o dobru wspólnym, to takich działań rządu może nie apróbujesz, bo nikt nie lubi być zamykanym i traktowanym jak własność państwa, ale czujesz, że rządzący działają w ramach tego samego systemu wartości co ty. Natomiast gdy następuje rozejście się tych systemów wartości, jak nierzadko w Europie czy w Ameryce, to nagle czujesz się, coś, okupowanym przez jakichś obcych, którzy zmuszają cię, żebyś żył według hierarchii wartości na-

jeżdźcy. A na to nałożyło się już wcześniej powszechne poczucie silnego rozjazdu kulturowego i lifestyle'owego elit i klas niższych.

Ale oczywiście na system wartości społeczeństwa można wpłynąć. W skali globu to pierwszy w historii pokaz takiej skuteczności technologii masowej manipulacji psychologicznej. Media państwowe i należące do wielkich korporacji zjednoczyły się w wysiłku zmiany sposobu myślenia społeczeństw. I to się im udało – po pandemii społeczeństwa Zachodu będą mniej indywidualistyczne. Zostały przetrenowane i w dużym stopniu zaakceptowały konieczność ograniczenia osobistej wolności.

A dostrzega pan jakiegokolwiek pozytywy tej pandemii?

– Ten, że dużo rzeczy objawiło swoją prawdziwą naturę. Po pierwsze, nastąpiło ogromne przyspieszenie. Takie procesy cywilizacyjne zwykle rozgrywają się w ślamazarnym tempie, dekada po dekadzie, więc ich nie dostrzegamy. Tu nagle wyszły na wierzch w całej okazałości. A po drugie, rządy, instytucje zaczęły o nich mówić jawnie.

E.W.: Jakie procesy?

– Poznaliśmy nowe możliwości kontroli społeczeństw i dowiedzieliśmy się, że nasi technokraci także chętnie po nie sięgną. Proszę zauważyć, że do wybuchu pandemii Zachód bardzo krytykował system inwigilacji i manipulacji zaimplementowany w Chinach. Teraz robimy dokładnie to samo, jawnie, tylko inaczej to nazywamy.

A druga zmiana, kluczowa, jest zmianą kulturową: relacji między rządzonymi i rządzącymi. Jesteśmy coraz bardziej świadomi, jak bardzo i w jak wielu zakresach władcy są w stanie wpływać na nasze życie, całkowicie poza naszą kontrolą, decyzywnością. Mówię „władcy”, bo tu już mniej chodzi mi o rządy, bardziej o panów technologii. Zaakceptowaliśmy ich rolę. Ich niezbędność. Wbudowaną w samą naturę cywilizacji technologicznej tę nierównowagę pomiędzy rządzonymi i rządzącymi. Już nawet podświadomie autocenzurujemy się w social media, w rozmowach na YouTube. Próbuje odgadnąć, na co nam big tech aktualnie pozwala, czego zakazuje. Na prywatności w ogóle postawiliśmy krzyżyk.

M.N.: A ja widzę inny plus, taki trochę wbrew temu, co pan mówi. Otóż ten nietłatwy czas pozwolił nam zrewidować przyjaźnie, znajomości, relacje. Wiemy, na kim możemy polegać, a na kim nie, na kim komuś zależy, a na kim nie.

– Jest taki stereotyp życia kobiety katolickiej, która znajduje wielką wartość w cierpieniu. Im bardziej cierpię, im bardziej świat mnie pognębia, tym bardziej dziękuję Bogu, że dał mi te krzyże do dźwigania. Bo staję się szlachetniejsza, bo odkrywam nieznane mi aspekty swojej natury, bo odkrywam dobroć w ludziach, której inaczej bym nie odkryła. Odczytuję pana reakcję mniej więcej w ten sposób. W każdej opresji możemy dowiedzieć się czegoś o sobie i odkryć naturę innych ludzi, też testowanych pod presją. W gułagu i Auschwitz to dopiero były odkrycia!

A niejaki Jacek Dukaj napisał kiedyś takie zdanie: „Wróć cierpieniu wielką karierę, to jedyny pozór absolutu, jaki nam pozostał”.

– To o czymś innym. Pan szuka w cierpieniu pozytywów. Ja w tym cytacie rozpatruję je jako doświadczenie kartezjańskie. Dziś bardzo trudno o pewność autentyczności, każde doświadczenie może być pośredniczone, sztuczne, sfalszowane. Nie wiem, czy oglądany klip na YouTube pokazuje prawdziwych ludzi, czy cyfrowe symulacje nieodróżnialne od ludzi. Nie wiem, co jest zapisem „prawdziwego życia”, a co zostało precyzyjnie zaaranżowane dla wywołania wrażenia prawdziwości, silniejsze go niż wywoływane przez jakikolwiek surowy, spontaniczny zapis re-



alu. Oczywiście emocje, jakie się tak we mnie wzbudza, są autentyczne, ale nadal zawieszono na tej niepewności. Natomiast moje własne cierpienie nie podlega wątpliwności. Kiedy cierpię, nie jestem w stanie wątpić, że cierpię.

E.W.: Z czego by wynikało, że cielesność wciąż jest człowiekowi potrzebna.
– Pani jest potrzebna. Cierpieć można fizycznie i psychicznie. To pani stwierdzenie wyświeśla pani system wartości, pani rozumienie człowieczeństwa. A dla wielu osób z młodszych pokoleń, którzy przyzwyczaili się, że duża część ich życia toczy się w domenie cyfrowej, cielesność już nie stoi tak wysoko na drabinie człowieczeństwa.

M.N.: Pewna osoba, która zajmuje się psychologią dzieci i młodzieży, powiedziała mi niezwykle ciekawą rzecz. Otóż młodzież nie ma żadnego problemu z obnażaniem się, pokazywaniem zachowań seksualnych, w ogóle z cielesnością w internecie, natomiast w życiu realnym te same rzeczy ich blokują. Seks przed kamerą czy pokazywanie intymnych części ciała w internecie obcym ludziom – żaden problem. Ewentualny stosunek w świecie rzeczywistym – tabu.
– W Japonii ujawnił się ten fenomen dobre trzydzieści lat temu, kiedy coraz więcej nastolatków wybierało szeroko rozumianą intymność online. Doszło tam do tego, że jedna czwarta dwudziesto- i trzydziestolatków w ogóle nie uprawia seksu w realu. Ale oni uważają, że prowadzą życie seksualne, tylko niezwiązane z kontaktem cielesnym. I u młodzieży z Zachodu zaczął rosnąć wiek inicjacji seksualnej. Jeśli dobrze pamiętam, najniższe poziomy osiągnął na początku lat 90., czyli jeszcze w epoce AIDS; jego wzrost wydaje się skorelowany ze wzrostem znaczenia komunikacji cyfrowej: internetu i iPhone’ów.

My, ludzie, dla których cielesność ma znaczenie, bośmy się wychowali w takiej kulturze, widzimy w tym zaburzenie. Ale z punktu widzenia obywateli Cyfry to my fetyszujemy jeden sposób relacji międzyludzkich, wynosimy go absurdalnie ponad inne. Dlaczego on ma być taki ważny, wyjątkowy, podstawowy? – pytają. Dla nich to jest pewien relikwitu zapóźnienia technologicznego. Tak jakby mówić, że nie możesz używać środków antykoncepcyjnych albo że transfuzja krwi jest zła – bo „nienaturalna”.

Sięgnę po inny przykład. W gospodarce cyfrowej pojawił się taki fenomen jak metaverse, czyli nakładka budowana dla rozmaitych sklepów, giełd, miejsc wymiany, kontaktów międzyludzkich w necie. To rodzaj małego fikcyjnego świata, w którym nie ma żadnych istotnych funkcjonalności poza tą, że tam właśnie wchodzi się w interakcje, coś kupujesz, sprzedajesz, z kimś się spotykasz. Na przykład awatar piosenkarza daje koncert w metaversie, my się tam zbieramy swoimi awatarami i nawet miliard ludzi może w ten sposób uczestniczyć w jednym koncercie. Z mojego punktu widzenia to absurd. Jeżeli chcę sprzedać czy kupić akcje, otwieram interfejs brokera, sprzedaję jednym kliknięciem, koniec. Po cholerę mam wchodzić do jakiegos metaversu, budować tam sobie awatara, chodzić tym awatarem wirtualną ulicą, wchodzić do wirtualnego butik i dopiero tam przeprowadzić transakcję? Ale to mój punkt widzenia. Człowieka, który żyje w realu. Jeżeli ty żyjesz już w rzeczywistości cyfrowej, to jest dla ciebie naturalne, że idziesz sprzedać te akcje w wirtualu.

E.W.: Zgoda, młodszy od nas bardziej żyją w rzeczywistości cyfrowej, ale czy nie w sposób tylko techniczny? Jest jakiś moment graniczny, za którym nie da się funkcjonować bez cielesności. Nie da się wszystkich funkcji ciała przenieść do internetu. Bliskość, dotyk...
– Jeszcze w epoce przedcyfrowej byli ludzie, którzy żyli w ten sposób, często diagnozowano u nich rodzaj autyzmu, asper-

geryzmu, ale nigdy nie stanowili znaczącej grupy. Teraz proporcje się zmieniają. Pytanie: czy się zmieniają w sposób sztuczny, czyli w ludzi wmusza się ten tryb życia, czy po prostu jest coraz więcej osób, które autentycznie mają takie potrzeby.
To ta sama dyskusja co o zmieniających się wzorcach seksualnych czy nowych identyfikacjach płciowych. Nie jesteśmy w stanie powiedzieć, co jest tu wpływem kulturowym, a co faktyczną potrzebą biologiczną, neurologiczną.

Nawet jeśli ta digitalizacja jest autentyczną ewolucją, taki człowiek kojarzy mi się z tą odciętą, zamrożoną głową.
– Pani logika, gdyby ją zastosować konsekwentnie, pokaże „prawdziwego” człowieka dopiero wtedy, gdy cofniemy się do czasów, kiedy żył w jaskini i nie miał żadnych innych narzędzi poza kością mamuta. A wszystko inne byłoby już perwersją natury człowieka. No więc gdzie mamy zakre-

wielkie korporacje obsługujące nas online i coraz częściej w realu, które stawiają się dzięki pandemii niezbędnymi, usankcjonowały swoje monopole, zabezpieczyły pozycję władców pozademokratycznych.

Z drugiej strony ludzie, również ci załatwiający już wszystkie sprawy online, w pandemii zaczęli zakładać ogródki, odkryli, że mogą mniej kupować. I wzrosła świadomość ekologiczna.
– Bardzo wątpię, czy świadomość ekologiczna jest konsekwencją pandemii. Te ogródki to odpowiednik płyt winylowych. Często na pociechę, że kultura cyfrowa nie zdołała nas w pełni zagarnąć, mówi się: a zobacz, znam ludzi, którzy kolekcjonują tradycyjne płyty, o, tu się otworzył sklepik z winylami. Tymczasem silny snobizm na kontrze do mainstreamu tylko dowodzi, jak bardzo dominujący stał się ów główny trend, już standardowy sposób życia. Te ogródki to szczeliny, przez które desperacko usiłujemy się wy-

dziury ozonowej itd. Warto czytać tamte oryginalne publikacje, a nie ich dzisiejsze omówienia.

I te modele miały przecież podstawy w ówczesnym stanie wiedzy. Naukowcy nie budowali ich w złej wierze. Zasób danych, dostępne im narzędzia, tryb krytyki wewnętrznej środowiska naukowego sprawiły, że one często były najlepszymi modelami przyszłości, jakimi dysponowaliśmy. Ale co robili z nimi potem media i politycy – to zupełnie inna sprawa.

E.W.: Czyli mądry człowiek myśli: wszystko się może zdarzyć, tak?
– Postęp następuje także w badaniach klimatu, w ekonomii, w badaniach demograficznych, w genetyce, czyli tych dziedzinach, które dziś próbują opisać, jak będziemy żyli, odczuwali, radzili sobie z rzeczywistością za te 20 czy 100 lat. Modele przyszłości ciągle się zmieniają. Pojawiają się coraz to nowsze zmienne. Przede wszyst-

Struktura ekologizmu apokaliptycznego nie różni się od tradycyjnych systemów religijnych – nastąpi powtórne nadejście mesjasza, będziemy sądzeni za nasze uczynki, świat umrze przez grzechy człowieka...

ścić taką obiektywną granicę nie do przekroczenia, bo za nią żyje się już „nienaturalnie”? To nie było naturalne, żeby operować na otwartym sercu. To nie było naturalne, żeby stosować środki antykoncepcyjne. To nie jest naturalne, żeby kobieta chodziła do pracy w fabryce.

E.W.: Nie uważam, że uprawianie seksu wyłącznie w internecie jest nienaturalne. Zastanawiam się tylko, czy prowadzi do prawdziwego szczęścia.

M.N.: I w zasadzie wszystko, co tu powiemy, pan może podważać na zasadzie „starzy kontra młodzi”, „jaskinia kontra cyberprzestrzeń”.
– Ależ ja tylko analizuję, dlaczego myślimy tak, a nie inaczej; na jakich założeniach, często nieuświadomianych, opieramy nasze sądy. Między innymi po to, żeby móc zrozumieć, w jaki sposób można manipulować naszymi systemami wartości. W jaki sposób coś, co wcześniej było dla nas obojętne albo złe, nagle staje się dobre, wartościowe. I my szczerze tak to odczuwamy.

E.W.: Oraz kto chce manipulować.
– Kto chce i kto to robi, bo to dwie różne rzeczy. „Rządzą nie tylko w realu, prawem, wojskiem, policją, ale też rządzą duszami” – to od zawsze mokry sen polityków. Tylko jakoś im to do końca nie wychodzi, mają za słabe narzędzia albo dwie lewe ręce. Ba, często bywa wręcz na odwrót: trendy i cool jest to, co na kontrze do starań ministra edukacji. „Żołnierze wyklęci” byli fajni, dopóki musiałeś przemycać ich pokątnie w sieci; jak się zabrało za ich promowanie państwo, dodają ci sto punktów do obciachu.

Natomiast coraz lepiej udają się takie inżynierie dusz tym, którzy dysponują znacznie dokładniejszą wiedzą, czyli mają dostęp do big data podpiętej do globalnej inwigilacji cyfrowej i mają bardzo wyraźny, komercyjny cel w zmianie naszych przyzwyczajeni. Jeden z częstszych argumentów za spiskiem pandemicznym – i w wersji soft, i w wersji hard, czyli że pandemia została jedynie tak wykorzystana albo że została wywołana – wskazuje, obok Chin, na Google’a, Facebooka, Amazona, na te

mknąć z uścisku cyfrowego lifestyle’u.

Ale skoro tak, to czemu coraz więcej ludzi przejmują się zmianami klimatu? Pan się uśmiecha?
– Bo to również rodzaj religii. Religie opierają się na wierze, że nadejdzie kiedyś taka, a nie inna przyszłość i że istnieje związek pomiędzy moimi doczesnymi uczynkami a tym eschatonem. Struktura ekologizmu apokaliptycznego nie różni się od tradycyjnych systemów religijnych – nastąpi powtórne nadejście mesjasza, będziemy sądzeni za nasze uczynki, świat umrze przez grzechy człowieka... Inny jest tylko system wartości.

To bardzo optymistyczne, co pan mówi. Bo neguje te wszystkie wyliczenia, że jak podniesie się temperatura i stopnieją lodowce, po prostu nie będziemy w stanie dalej żyć.
– Nie, skąd! Mówię, że dla przeciętnego człowieka osądzenie racjonalności lub nieracjonalności tych przewidywań jest niemożliwe, więc jego stosunek do nich jest stosunkiem wiary.

M.N.: I jak w religii jest też strach i lęk.
– Bardzo silnie w tej chwili indukowane. Pokazały się już badania o masowym wzroście depresji wśród nastolatków i wpływie narracji o zagładzie na osobowości podatne na depresję.
Ogólny kierunek zmian klimatu jest oczywisty, natomiast czy ziści się ta konkretna wersja z katastrofą? Znam wiele modeli przyszłości budowanych przez naukowców w XX wieku, które się spektakularnie zdezaktualizowały. Co ciekawe, one nierzadko naprzemiennie sobie przeczyły, czyli mniej więcej co dekadę dany model przyszłości – nieodmiennie straszący zagładą – stawał się dominujący, opany wywał media, wpływał na polityków, wypierając model poprzedni, przeciwny. Mieliśmy epokę przyszłości nieuchronnej zagłady ludzkości w wojnie nuklearnej (pamiętacie Doomsday Clock?). Mieliśmy epokę nieuchronnej zagłady z powodu przełudnienia. Mieliśmy przyszłość wielkiego zlodowacenia z powodu zanieczyszczenia powietrza. Mieliśmy przyszłość zabójczej

kim taką zmienną jest sam postęp w twardej naukach i ich zastosowaniu. Nikt nie potrafi powiedzieć, jakimi nowymi technologiami wpływającymi na klimat będziemy dysponować za 50 lat.
Nie jest tak, że w którymś momencie odkrywamy „obiektywną przyszłość” i od tego momentu już tylko wypełniamy raz zapisany scenariusz. Nauka nie jest kultem nadistot zwanym naukowcami. Jest metodologią budowania racjonalnych hipotez i ich obalania. Na tym właśnie polega postęp, że na podstawie nowych danych tworzymy lepsze modele i wycofujemy się z poprzednich. Dotyczy to także postępu wiedzy o COVID-zie. To tylko politycy i media mają z tym problem – bo tak wiele za-inwestowali w jedną narrację podpieraną autorytetem kapłanów nauki.

Skoro mimo wyrafinowanych narzędzi nie możemy sprawdzić, co się wydarzy, to może chociaż jesteśmy w stanie stwierdzić, co jest prawdopodobne?
– W jakich dziedzinach? W ekonomicznych, w twardej nauce, w polityce?

W ekonomii i polityce pan odpowie, że prawdopodobne jest wszystko, więc niech będzie w twardej nauce.
– W matematyce jest to prawie niemożliwe. W fizyce w dużym stopniu tak. Mamy fizykę teoretyczną i eksperymentalną. Ta druga mocno zależy od infrastruktury – od tego, jakie wybudowaliśmy akceleratora, na co idą fundusze itp. Jeśli wiemy, co się buduje i jakie budżety przeznacza na dane badania, to da się powiedzieć, czy za 5-10 lat przeprowadzimy takie a takie eksperymenty. Możemy np. spodziewać się, że w końcu doprowadzimy do opłacalnej fuzji jądrowej (gorącej, nie zimnej). I to akurat ma bezpośrednie przełożenie na gospodarkę, bo takie źródło energii uwolniłoby nas od paliw kopalnych. Jest to zresztą jedna z nielicznych dziedzin, w których Europa ma infrastrukturę pozwalającą jeszcze na konkurowanie z Chinami i USA.
W genetyce ścieżka też jest dosyć jasna, bo wyznaczona przez wartości, etykę. Jako że możliwości technologiczne to jedno, a prawne ograniczenia – drugie. Za-

chód koncentruje się na pobocznych, komercyjnych wykorzystaniach technologii CRISPR, pozwalającej wprowadzać do komórek obcy kod genetyczny. Monstrualne bitwy prawne o patenty na CRISPR zarysowały mapy zachodniej genetyki. Big Pharma osiągnie największy zwrot z inwestycji, idąc w kosmetykę genetyczną (estetyczna inżynieria genetyczna zapowiada się na bilionowy biznes) i leczenie chorób wystarczająco rozpowszechnionych w wystarczająco bogatych populacjach. Natomiast Chiny znacznie szybciej zmierzają w kierunku przepisywania kodu genetycznego człowiekowi na ogóle. Już mają dzieci urodzone po takich manipulacjach genetycznych. Zarazem jako pierwsze skazały naukowca za rzeźbienie DNA nieurodzonych dzieci (są to tzw. designer babies) i zarazem otwarcie głoszą, że ich celem jest dominacja nad Zachodem między innymi dzięki manipulacjom genetycznym optymalizującym cechy mentalne, w tym inteligencję.

Zbudują sobie nowy, wspaniały świat? – Nas to hasło przeszywa dreszczem, ich nie. Zresztą to jest jakoś fajne u chińskich decydentów, że tak otwarcie mówią, co planują. Zachodni polityk nigdy by sobie na to nie pozwolił. No i żaden zachodni polityk nie jest w stanie wiarygodnie zapowiadać niczego w horyzoncie dalszym niż cztery lata, a oni spokojnie mogą budować plany na dekady i potem rzeczywiście je przeprowadzać.

Przykładem wycięg kosmiczny, a w zasadzie dwa – pierwszy, już komercyjny, na niskie orbity, drugi, militarny i polityczny, o dominację nad przestrzenią pomiędzy Ziemią a Księżycem i o sam Księżyc. Oba Chińczycy zaplanowali wiele lat temu, konsekwentnie realizują i mają dalsze plany, rozpisane na 20-50 lat.

M.N.: No to jest coś, co nas ocali, czy nie ma? A jeśli jest, to kogo ocali? – Ale przed czym?

Przed upadkiem. – Będę prosił o definicję upadku.

Może będzie nią człowiek bez wyobraźni? Skoro już jesteśmy sterowani, a jeszcze Chińczycy szykują zupełnie nowego człowieka... – Już żyjemy w społeczeństwie, w którym większość ludzi nie ma wyobraźni. Nigdy wyobraźnia nie była uniwersalną cechą człowieka. *Homo sapiens* ma raczej zdolność do indywidualnego wykształcenia wyobraźni. Jest gatunkiem produkującym wyjątkowe jednostki o wielkiej sile wyobraźni.

W powszechnym użytku jest natomiast coś, co można nazwać wyobraźnią praktyczną, krótkozasięgową – wyobrażam sobie, że jak wyjdę przez te drzwi, to za nimi będzie korytarz, przejście w lewo i w prawo, ponieważ pamiętam, co widziałem, idąc korytarzem w tę stronę. Ale chyba nie do tego pan się odwoływał.

Oczywiście myślę o takiej wyobraźni, która pozwala mi na przykład kreować w głowie, w mózgu zupełnie nowe obrazy wedle tego, czego doświadczyłem. Albo przynajmniej obrazy, które wyzwała czytana literatura. – A to jest bardzo konkretny rodzaj wyobraźni: takiej, która opiera się na umiejętności rozkodowywania symboli w konkretne pakiety doświadczeń, pakiety przeżyć zmysłowych lub bardziej abstrakcyjnych: tych opartych na uczuciach, na ideach lub na relacjach między obiektami. I ten drugi rodzaj wyobraźni zanika. Nasze wewnętrzne krajobrazy przeżyć w coraz większym stopniu powstają wyłącznie na podstawie doświadczeń bezpośrednio zmysłowych, audiowizualnych. Pytanie, jak to się przekłada na inne aspekty człowieczeństwa.

Mam radykalną tezę, że w dużym stopniu to, co w XX wieku uważaliśmy za czło-

wieczeństwo – tamte krajobrazy duchowości, to, że budujemy sobie takie, nie inne modele cudzych umysłów, że prowadzimy taką wewnętrzną narrację o samym sobie – to wszystko jest pochodną wychowania w kulturze literackiej, opartej na dekodowaniu symboli. Żeby w ten sposób myśleć, nie musisz być zagorzałym czytelnikiem, ale musisz wychować się w świecie, gdzie czytanie jest naturalnym sposobem uczestnictwa w kulturze. Gdy matka i ojciec od małego czytają czy opowiadają ci bajki, gdy bawisz się z dziećmi w takie gry wyobraźni, gdy posługujesz się językiem pełnym pojęć sensownych dzięki literaturze – np. cudze myśli przedstawiamy sobie jako powieściowe dialogi, chociaż sami tak przecież nie myślimy – to od małego wtrenowujesz się w taki sposób przeżywania siebie i innych. Nieustannie snujesz te opowieści o swoich i cudzych przygodach duchowych.

Ale dla drugiego, trzeciego pokolenia wychowanego w kulturze, dla której takie przeżycia nie są konstytutywne, bo wszystko jest przekazywane wprost do zmysłów, dla nich wykształcenie tego typu duchowości będzie nie tylko trudne, ale też nienaturalne, to znaczy wyobcowujące, negatywnie wpływające na życie i karierę.

To dobrze widać, gdy spojrzysz się na ewolucję technik reklamowych. W XX wieku dominowało przekonanie, że ważna jest narracja, nawet jeśli nie wprost słowna, bo również podana obrazami, to układająca się w linearną opowieść, spójną, logiczną. Otóż nie jest to już dominujący sposób perswazji. Dziś doświadczamy serii silnie emocjonalnych ataków rorschachową plamą skojarzeń audiowizualnych. Linearność nie jest konieczna, a często przeszkadza; nie ma potrzeby odwoływania się do żadnej wewnętrznej narracji podmiotu. Te skojarzenia czysto estetyczne, emocjonalne są tak silne, że skutecznie oddziałują na ciebie, nawet jeśli wywodzisz się ze starej kultury języka. Choć wtedy przynajmniej jesteś świadom, jak to na ciebie działa. Bynajmniej nie gwarantujesz sobie dzięki temu odporności – ale zyskujesz świadomość procesu, możesz go nazwać, opisać, zanalizować. Ludzie post-piśmienni już nie mają w sobie tego wewnętrznego krytyka. „O, super, zajebiste, co nie?” – wymiana emocji zastępuje aparat krytyki.

Nie chodzi mi o różnicę wartości między starym i młodym pokoleniem; jak mówilem, to naturalne. Patrzę na tę zmianę przez pryzmat cognitive warfare – nierównowagi sił między atakującymi twoją podmiotowości a sposobami obrony autonomii umysłu. Rozbrajanie tego aparatu narracyjnego jest rozbrajaniem podmiotowości. Im mniej nasz sposób myślenia jest linearny, racjonalny, logiczny, oparty na ideach, kategoriach, tym bardziej jesteśmy podatni na oddziaływania czysto estetyczne, emocjonalne, i tym bardziej jesteśmy wobec nich bezbronni. Coś nam się przydarza i możemy tylko to przeżyć. Być przedmiotem emocji i ogniwem łańcucha reakcji.

Gdybym miał umysłowość jeszcze bardziej podatną na teorie spiskowe, niż mam...

E.W.: Może pan nie jest podatny na teorie spiskowe, tylko ma w sobie zdrową nieufność.

– Chyba jednak zostałem tak uwarunkowany zbyt wieloma lekturami o abstrakcjach. Wielkie europejskie systemy filozoficzne przyzwyczajają umysł do obsesyjnego rozpoznawania wzorców w świecie, na wszystkich poziomach rzeczywistości. I jest to ten sam mechanizm, który odpowiada za zdolność do tworzenia teorii spiskowych. Teoria spiskowa to pogardliwe określenie sposobu wyświetlania ukrytej natury rzeczywistości. Zaawansowanego zastosowania pattern recognition. Ma formę hipotezy i jeśli ta hipoteza daje się zweryfikować, jest to całkiem racjonalne podejście. Tak się uprawia politykę, gra na giełdach, prowadzi śledztwa kryminalne. Rozpoznając szybciej niż inni ukryte wzorce. Często się przy tym mylisz, ale potrafisz stwierdzić, kiedy się mylisz. Ci natomiast, co w ogóle nie rozpoznają wzorców, prędzej czy później zostają pożarci przez tygrysa ukrytego w gęszczu dżungli: nie dostrzegli zamaskowanego drapieżcy.

Metafizyki Zachodu mają tę samą cechę, co najbardziej odleciane teorie spiskowe – są obezwładniająco, niewywrotnie totalne. Klasyczny heglizm jest teorią spiskową; wyjaśnia wszystko, jest nieobalalny. Klasyczny marksizm tak samo. Teorie psychoanalizy potrafią tak ująć każde twoje doświadczenie życiowe, że wszystko, co powiesz przeciwko nim, tylko jeszcze bardziej je wzmacnia.

Jest typ umysłowości podatny na takie narracje totalne. Rozpoznałem w sobie tę podatność i przyznaję, że jestem wobec niej bezbronny. Poszukuję ukrytych wzorców, widzę w nich piękno.

Pan ma świadomość. To już ją to rozbraja.

– I właśnie to jest rodzajem ekstremalnego uwarunkowania przez kulturę pisma. Bo zdolność do budowania teorii opartych na abstraktach, na ideach, na kategoriach – bezpośrednio wynika z myślenia symbolami. Nie jesteś w stanie zobaczyć, dotknąć, posmakować czegoś takiego jak demokracja, absolut, duch dziejów. To konstrukty. Wzorce porządkujące rzeczywistość materialną, a nie do znalezienia w samej materii.

No chyba że ktoś wymyśli, jak je bezpośrednio przetransferować.

– Ale zaraz, chyba nie ustaliliśmy z panem Nogasiem, co jest tym upadkiem, o który tak dopytujecie.

M.N.: Brak człowieczeństwa.

– A co jest człowieczeństwem?

Empatia, współczucie, pomoc, przyjaźń, nieczynienie zła.

– No, co do współczucia i empatii, to większość zmian technologicznych im sprzyja. Przy czym rozumiem empatię jako zdolność do współodczuwania czegoś, co wyobrażamy sobie, że odczuwa ktoś inny. Nie wiemy, czy to odczuwa naprawdę.

Wolałbym odczuwać z ofiarą, nie ze zbrodniarzem.

– Teraz przedstawienie się jako ofiara jest bardzo skuteczną metodą perswazyjną. Taką technikę wpływu też da się zoptymalizować. Jak duża część naszego dyskursu publicznego to wymuszanie przeprosin i cytowanie się na stopnie obrazy i cierpienia emocjonalnego?

Proszę zwrócić uwagę, w jaki sposób media wykorzystują empatyczność: produkują dany przekaz audiowizualny, aby zagrał na uczuciach targetu ku określonemu celowi. Wiedzą, z kim utożsamia się jaka część targetu; które klawisze nacisnąć nam w mózgach. Emocje są najważniejsze, nie logiczna argumentacja, nie związek z innymi przekazami; tylko i wyłącznie jednostkowy impakt emocjonalny. Kto włącza telewizję informacyjną, wchodzi na popularne portale, czyta prasę tożsamościową – ten sam oddaje się w ręce brutalnych treserów umysłów. Powszechny wzrost emocjonalności jest tym, o co chodzi władcom technologii. Ich narzędzia stają się dzięki temu jeszcze skuteczniejsze. Coraz trudniej jest się nam obronić przed manipulacjami, nawet gdy jesteśmy ich świadomi. Rozum mówi: daj sobie spokój, to nie ma sensu – ale emocje nie pozwalają ci wylogować się z Twittera, wyłączyć z fejsbukowej nawalanki.

Współodczuwanie samo w sobie nie jest dobre – gdy nie wiesz, kim jest ten, z którym współodczuwasz, czy w ogóle istnieje, i nie wiesz, ku jakiemu skutkowi współodczuwasz. W jaki sposób odróżnisz prawdziwą ofiarę od zbrodniarza? Po uczuciach, jakie wywołują w tobie ich medialne prezentacje?

Za postępującą polaryzację społeczeństw odpowiadają te plemienne wzbudzenia namiętności. Współodczuwanie z innymi przeżywaczami w social media, kiedy na przykład wszyscy wspólnie pogardzamy czy wyśmiewamy kogoś. Jakież to wspaniałe uczucie! Jak cudownie jednocząca emocja! Wcale nie musi opierać się na bluzgach i wulgaryzmach. „My jesteśmy ci współczujący” – to też jest podział, i to chyba najdrastyczniejszy, bo wtedy po drugiej stronie z definicji stoją nieludzie: indywidua pozbawione współczucia.

Pana definicja człowieczeństwa – zresztą współcześnie dominująca, podczas gdy np. w starożytności uważano, że człowieka odróżnia od zwierząt intelekt – jest bardzo na rękę big tech i politycznym macherom. Uczynić zaletę z podatności na manipulację; widzieć wartość w poddaniu rozumowi emocjom; cieszyć się z odpodmiotowienia. Cóż może być dla nich lepszego?

Niestety, obrócono przeciwko człowiekowi także to, co mieliśmy w człowieku za najszlachetniejsze. ●

* Jacek Dukaj

• prozaik, eseista, krytyk. Autor publikowanych w Wydawnictwie Literackim m.in. „Czarnych oceanów”, „Innych pieśni”, „Perfekcyjnej niedoskonałości”, „Lodu”, „Wrońca”, „Starości aksolotla”, „Imperium chmur” oraz licznych opowiadań – w tym zekranizowanej przez Tomka Bagińskiego „Katedry” – zgromadzonych m.in. w tomach „W kraju niewiernych” oraz „Król Bólu”. Autor eseju rzeki „Po piśmie”, ukazującego ludzkość wchodzącą w epokę postpiśmienną. Tłumacz-reinterpretator „Serca ciemności” Conrada. Wielokrotny laureat nagród im. Janusza A. Zajdla, wielokrotnie nominowany do Paszportu „Polityki”, także do Nike i Angelusa; laureat Nagrody Kościelskich, laureat Europejskiej Nagrody Literackiej. Na podstawie powieści „Starość aksolotla” Netflix wyprodukował serial „Kierunek: Noc”

A co, jeżeli będziemy żyli wiecznie

ŚMIERĆ TO ULECZALNA CHOROBA

**Pod warunkiem że znajdą się pieniądze.
Inwestorzy już wyłożyli 110 miliardów dolarów**

„Na tym świecie pewne są tylko śmierć i podatki” – oznajmiał Benjamin Franklin w liście do Jeana-Baptiste’a Le Roya w 1789 roku. Od napisania tych słów wiele się wydarzyło: wynaleziono penicylinę, zwalczono gorączkę reumatyczną, odrzucono żelazne płuca i zaczęto przeszczepiać serce. Dalej droga wiodła do odkrycia ludzkiego genomu i rozwoju medycyny regeneracyjnej, która w przyszłości zaoferuje być może implementację multipotencjalnych komórek macierzystych. Od 200 lat długość życia przejawia stałą tendencję wzrostową, a wiek XX wydłużył nam wędrówkę po ziemi o 25 wiosen.

Aubrey de Grey, biogerontolog i założyciel fundacji SENS, odpowiada dziś Franklinowi i całej ludzkości, że starzenie się jest chorobą, z którą możemy skutecznie walczyć. Zatem co dalej? Co jeśli ten najbardziej dotychczas pewny moment naszego życia okaże się jedynie skutkiem usterki, którą możemy naprawić, przesuwając lub zawieszając śmierć w czasie? Jakie wyzwania i konsekwencje nas czekają? Jak będzie wyglądała wielopokoleniowa rodzina, jak nazwiemy gody małżeńskie ze stażem 100 lat i ile nut trzeba będzie dodać, by płynnie odśpiewać życzenia urodzinowe 200 lat?

NIECO WYŻEJ NA DRABINIE EWOLUCJI

Jako ludzie nie lubimy, kiedy coś się kończy – zwłaszcza jeśli to nasze życie. Dlatego wytworzyliśmy przeróżne konstrukty, w których upatrywaliśmy dalszego ciągu mogącego stanowić continuum naszej doczesności. Wykształciliśmy różnego rodzaju wieczności – przestrzenie niemające końca, w których, choć pozbawieni ziemskiego biologicznego ciała, jako dusza prowadzilibyśmy wieczny żywot. Snuliśmy opowieści o zaświatach Hadesu z wiecznie zielonym, choć niedostępnym dla wszystkich Elizjum. Stworzyliśmy modele zarówno wiążące sferę transcendentną z koniecznością śmierci, to okraszzonej jednak (w religiach monoteistycznych) obietnicą raju wzbogaconą o rezurekcję ciała.

W narracjach wieszczących technozmartwychwstanie nieśmiertelność ma przyjść nie przez wskrzeszenie ciała, ale przez zmianę percepcji śmierci. Prowadzą nas one do postrzegania śmierci jako choroby, ubytku czy braku możliwego do wyleczenia lub uzupełnienia. Nieśmiertelność staje się zatrzymaniem w trwaniu nie tylko tego, co niematerialne (duszy), ale także tego, co materialne (ciała). Śmierć, złagodzona mitycznymi narracjami i wzbogacona o cały wachlarz mistycyzmu przejścia, w wielu kręgach (transhumanizm, Dolina Krzemowa) nabiera dziś kształtu rzeczywistego sięgnięcia po Lemowską antyutopię, w której na szczycie drabiny ewolucji stoi wcale nie człowiek, ale jego

ulepszona wersja wolna od praw natury, którym dotąd podlegała.

UMIERANIE TO KATASTROFA HUMANITARNA

W wieku 40 lat Ferejdun M. Esfandijari – amerykański filozof – na znak swojej wiary w nieśmiertelność zmienił nazwisko na FM-2030, zawierając w nim datę swoich setnych urodzin. Rok 2030 miał też stać się symbolem czasu, kiedy to zaczniemy skutecznie radzić sobie ze starością. Sam Esfandijari postanowił doczekać tych czasów, licząc na skuteczną terapię przeciwstarzeniową: poddał się krioprezervacji w laboratoriach Alcor Life Extension Foundation w stanie Arizona.

Nie jest on jedynym piewcą tej rewolucyjnej technologii, która według niektórych zmieni świat. Młodzi ludzie marzą o byciu bogatymi, a bogaci o byciu młodymi. Zanim nieśmiertelność stanie się możliwa, technooptymiści myślą o wydłużeniu życia. „Dolina Krzemowa się starzeje. Technomagnatom przybysiwych włosów, a ubywa sił vitalnych” – relacjonuje Magda Gacyk, dziennikarka i analityczka trendów technologicznych w książce o cyborgach „Zabawy w Boga”. Peter Thiel, słynny przedsiębiorca, współzałożyciel PayPala, uważa, że technologia łąda moment zacznie wywierać coraz bardziej znaczący wpływ na ludzką biologię, a wtedy przestaniemy mówić o procesach nieodwracalnych. Śmierć z tajemnicy zostanie sprowadzona do kategorii problemu, do którego rozwiązania będą potrzebne przede wszystkim fundusze – a to, jak wskazuja raporty finansowe, nie będzie kłopot. Już dziś inwestycje w nieśmiertelność sięgają rzędu 110 miliardów dolarów, a jak twierdzą analitycy banku Merrill Lynch, do 2025 roku osiągną wartość 610 miliardów. Thiel mocno wspiera finansowo m.in. właśnie de Greya, który staje się jednym z proroków wieszczących odwrócenie procesów degeneracji komórek, uznającym starzenie się za jeden z największych ludzkich kataklizmów, a wręcz katastrofę humanitarną. Poprzez swoją organizację SENS (Strategies for Engineered Negligible Senescence) dąży do uznania śmierci za chorobę, w dodatku uleczalną, wyznając teorię prędkości ucieczki do długowieczności (która głosi, że tempo postępu wydłużające długość życia jest tak szybkie, że niebawem odsunemy śmiertelność na bardzo daleki plan).

Podobnego zdania jest stypendystka Thiel Foundation Laura Deming twierdząca, że śmierć jest największym problemem ludzkości. Ray Kurzweil, sławny amerykański futurolog i transhumanista, wspomina o sześciu fazach ludzkiej ewolucji, z których biologiczne są tylko trzy z nich. Kolejne wiążą się bezpośrednio z technologią i prowadzą nas do epoki osobliwości, zwiastującej co prawda nie białkową ani nie biologiczną, ale jednak nieśmiertelność. Liczba proroków i zwolenników idei nieśmier-

telności rośnie i choć preferują różne drogi dążenia do wieczności – od przetaczania krwi do transferu umysłu – ich cel pozostaje jeden: nie umierać. A ciało ludzkie postrzegać jako maszynę, którą można naprawiać – jak głosił na jednej ze swoich konferencji TED de Grey, proponując terapie regeneracyjne, dzięki którym przeprowadza się interwencje, jeszcze zanim zniszczenia organizmu osiągną stan patologii.

KRIOPREZERWACJA, CZYLI CHŁODNA PRZYSZŁOŚĆ

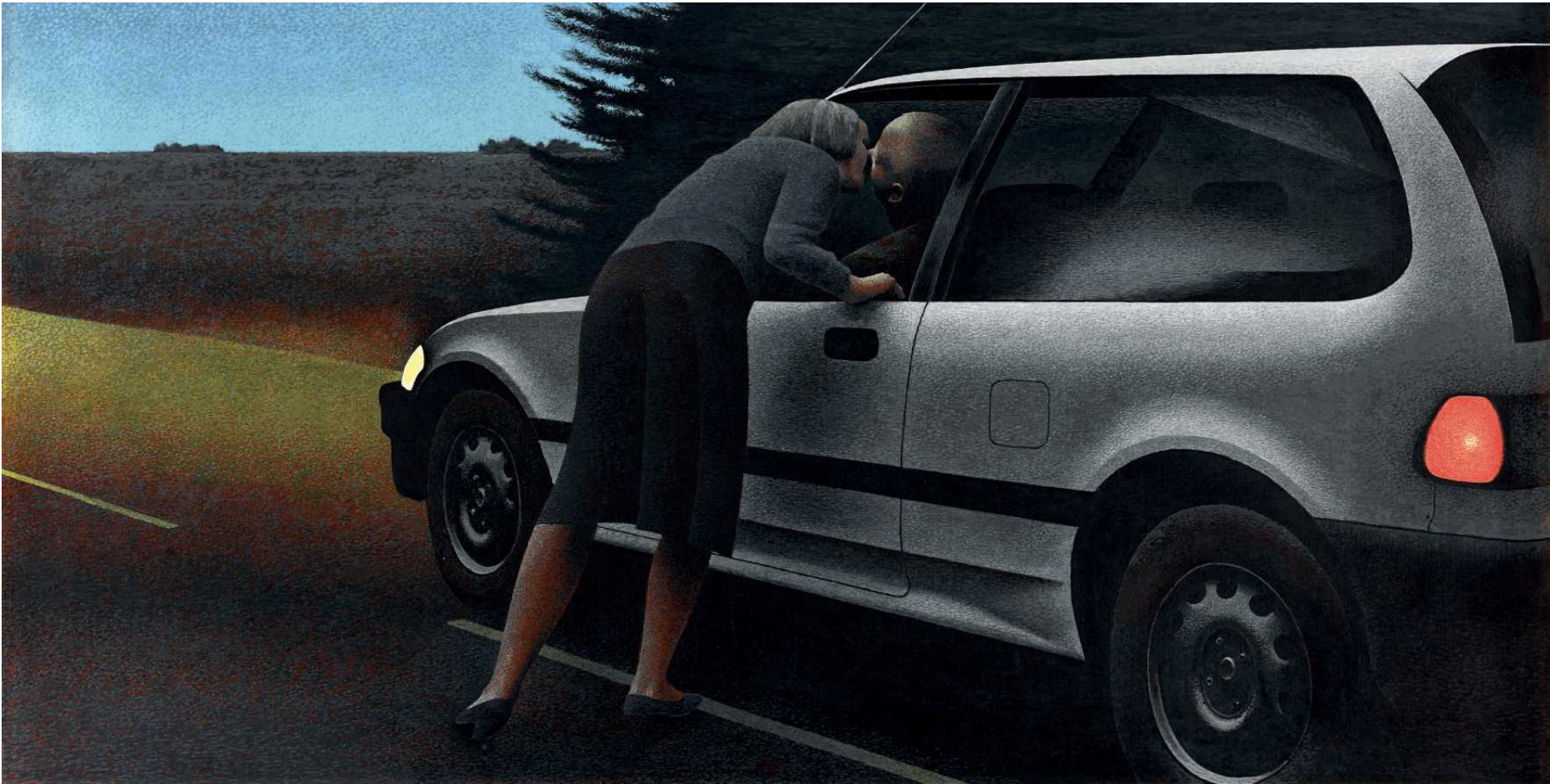
Jednym z wyjść dostępnych od zaraz, choć z jeszcze nieznanym efektem końcowym, jest krioprezervacja. To – jak podaje amerykańska, mieszcząca się w Arizonie firma Alcor Life Extension – technika ochrony życia polegająca na wstrzymaniu procesu umierania za pomocą niskich temperatur (-196°C), z zamiarem przywrócenia dobrego zdrowia w przyszłości dzięki technologii medycznej. W laboratoriach jej euroazjatyckiego odpowiednika KrioRus na taką przyszłość czeka już 81 osób i 47 zwierząt (na stronie firmy dostępna jest imienna lista pacjentów). W laboratoriach przechowywane jest także DNA dzikich gatunków zwierząt, co w przyszłości może zapewnić bioróżnorodność gatunkową.

Krioprezervacja jest jednak „dosyć chłodną przyszłością” i dla wielu stanowi raczej plan awaryjny. Dlatego też badawczo-rozwojowa firma Calico próbuje uzyskać odpowiedź na najtrudniejsze pytania biologiczne naszych czasów: jak ludzie się starzeją i czy możemy opracować terapie, które pozwolą żyć dłużej i zdrowiej. Podobna idea przyświeca firmie AgeX Therapeutics, której misją jest wydłużenie ludzkiego życia przy użyciu technologii PureStem opartej na multipotencjalnych komórkach macierzystych, czy firmie Shift Bioscience – wieszczącej walkę ze starzeniem się za pomocą uczących się maszynowo zegarów umożliwiających przeprogramowanie komórek. Zmieniać przebieg starzenia się za pomocą przeprogramowania epigenetycznego chce także bostońska firma Life Biosciences. Najmłodsza tego typu firma, Altos Labs (inwestorzy: Yuri Milner i sam Jeff Bezos, twórca Amazona), ma wypracować technologię pozwalającą na przeprogramowanie ludzkich komórek, by się odmładzały.

Ray Kurzweil w kontekście długiego życia mówi o trzech mostach, które mogą nas do niego doprowadzić. Pierwszy to wszelkie zalecenia medyczne, drugi – rewolucja w biotechnologii, i trzeci – wszelkiego rodzaju innowacje w nanotechnologii.

NOWE PRZYGODY CZY „DZIEŃ ŚWISTAKA”

Walka o długowieczność trwa, a patrząc na liczbę zasobnych inwestorskich portfeli, prędko się nie zatrzyma. Co to tak właściwie oznacza dla nas, ludzi? Coraz



głośniej mówi się, że radykalne wydłużenie życia doprowadzi do zmian, jakie poczyniła globalizacja czy technologia – co już na wstępie oznacza, że będzie to spora rewolucja. Pozostaje pytanie stawiane w ślad za Lyndą Gratton i Andrew Scottem, autorami książki „100-letnie życie. Codziennosc i praca w erze długowieczności”: czy będzie darem, czy może przekleństwem? Czy czeka nas życie niczym z klątwy Ondyny, czy jednak pozwolimy sobie na zbudowanie nowego konstruktu społecznego opartego na zupełnie innej sekwencji zdarzeń i struktur?

Nadchodząca zmiana dotyczy bowiem nas, ludzi – nie tylko wybranych, ale w dalszej perspektywie wszystkich – a co za tym idzie, wszystkich obszarów, w których funkcjonujemy. Przyzwyczajeni do piłkarskiego rozgrywania naszego życia, gdzie po pierwszej połowie, w której dzieje się całkiem sporo (edukacja, rodzina, praca, dom), przychodzi naznaczona emeryturą i starością druga połowa – stajemy przed zupełnie nową mapą. Rysuje się przed nami schemat opierający się na życiu wieloetapowym – co oznacza, że więcej niż raz będziemy przeżywać dotychczasową pierwszą połowę. W dyskusjach pojawia się zazwyczaj wizja wydłużenia jednego z jego okresów – na nasze nie-szczęście przeważnie tego żmudnego, związanego z pracą. Spróbujmy jednak spojrzeć na scenariusz proponujący kilka karier życiowych, kilka nowych startów, ale też równowagę i większy balans pomiędzy tym, co związane z pracą i karierą, a tym, co duchowe i emocjonalne. Wieloetapowość życia nie oznacza bowiem wydłużenia istniejących jego etapów, ale pojawienie się nowych, wypełnionych wyzwaniami i strukturami, których dotąd nie znaliśmy.

Już dziś zmieniliśmy pewne okresy życia – przedstawiciele biologii ewolucyjnej wskazują na następujący po okresie nastoletniości etap neotenu (za Wikipedią: „zachowanie cech osobników młodocianych przez osobniki dorosłe”). Patrząc na dzisiejszych mili-nialsów, nietrudno zauważyć, że decyzje dotyczące małżeństwa, pierwszego dziecka czy zakupu domu odraczają znacząco w czasie. Nihil novi sub sole – wystarczy spojrzeć na mocno wydłużony w XX wieku okres starości, dziś kobiety dożywają średnio 83 lat, a mężczyźni 78, co oznacza, że na emeryturze spędzamy znacznie więcej czasu.

Co istotne, wydłużenie starości nie jest realizacją hobbessowskiej wizji epidemii niedo-lężności, a seniorzy sami o sobie mówią po-
wer generation. Dzięki geriatrri i geronto-
logii coraz częściej widzimy silverów czerpiących pełnymi garściami z życia. Agefree

(wolni od metryki) – ta instagramowa spo-
łeczność przedstawia nam ideę, w której
wiek nie gra roli (wiek to tylko liczba, piękno
nie ma metryki, a młodość to stan umysłu),
a Era Nowej Starości – projekt misyjno-star-
tupowy – definiuje nowe podejście do staro-
ści oraz ma na celu wskazanie narzędzi do
jej projektowania już dziś. Powinniśmy się
przyzwyczajać do nowego rozumienia cza-
su, w którym wiek i etapy życiowe przesta-
ną być tożsame i nie powinny wzajemnie
się definiować.

■
*Jak będzie wyglądała
wielopokoleniowa rodzina?
Jak nazwiemy gody
małżeńskie ze stażem 100 lat?
Ile nut trzeba będzie dodać,
by płynnie odśpiewać
życzenia urodzinowe
200 lat?*

STARZY, ALE ZDROWI

Jakie scenariusze rysują się przed nami? Wciąż będziemy się starzeć, ale będzie-
my się starzeć zdrowi. Idea długiego ży-
cia łączy się bowiem z jego jakością – czy-
niać z każdego kolejnych urodzin dobro-
dzieństwo.

Jednym z najbardziej palących tema-
tów są wyzwania czekające sektor finan-
sowy. Myśląc o długim życiu, od razu za-
stanawiamy się, ile wyniesie nasza eme-
rytura – za dar długiego życia będzie trze-
ba przecież zapłacić. Znany nam system
repartycyjny (najpierw odkładamy – póź-
niej wykorzystujemy) może tego nie wy-
trzymać, bo został zaprojektowany do zu-
pełnie innego modelu. Naszym oczom ry-
suje się więc nie najlepsza wizja, oparta
na prostej kalkulacji: dłużej żyjesz – dłu-
żej pracujesz.

Z drugiej strony pojawiają się nowe bran-
że i ekosystemy, generowane nie tylko
zmianami technologicznymi, ale także
ekologicznymi czy demograficznymi. Sta-
rzejące się społeczeństwo już dziś jest mo-
torem zmian w sektorach związanych nie
tylko z medycyną, bioinżynierią czy usłu-

gami opiekuńczymi, ale też w modzie,
edukacji, rozrywce. Zmieniające się śro-
dowisko pracy – opierające się w dobie
automatyzacji zarówno na wiedzy, jak i na
kompetencjach czysto ludzkich – stworzy
zupełnie nowy krajobraz, w którym pra-
cownik będzie elastycznie pracował, także
w rozproszonych zespołach, oderwanych
od miejsca, a może i od czasu. Gig econo-
my i sharing economy mocno przeformu-
lują dotychczasowe ramy, przenosząc nas
ze żmudnie wykonywanych rutynowych
zadań do świata, w którym pomysły bę-
dziemy sprzedawać na ogólnosiwiatowych
gieldach, a na wartości zyskają te kompe-
tencje, które mają przewagę nad technolo-
gią. Rynek pracy przestanie proponować
stabilne zawody, których można się raz na
zawsze wyuczyć, i będzie wymagać więk-
szej elastyczności oraz gotowości do wie-
lokratnej zmiany – uczenia się, oduczania,
przekwalifikowania.

Życie przestaje się rozwijać w sposób
liniowy, a zacznie przypominać różne se-
kwencje, w których wiek przestaje deter-
minować nasze zachowania. Do takiego
życia potrzebujemy nowych kompetencji
i sposobów myślenia – bardziej elastycz-
nych, otwartych, nazywanych kompeten-
cjami transformacyjnymi – które pozwolą
nam efektywnie zarządzać procesem wie-
lokratnej zmiany. I choć w pewien sposób
zostajemy pozbawieni stabilnych elemen-
tów naszego życia, to wiele możliwości
pozwala patrzeć na stuletnie życie jako na
dar. Być może nasza praca, która będzie
częścią wieloetapowego życia – stanie się
przestrzenią do realizacji siebie, kwestio-
nowania i budowania siebie na nowo.

Na zmieniającym się rynku pracy wie-
lopokoleniowość zacznie być uważana za
atut i zawodowy kapitał społeczny. Dodat-
kowo, postępująca automatyzacja i wdra-
żanie sztucznej inteligencji – choć zwią-
zane z apokaliptyczną narracją techno-
dominacji – pozwoli nam na odkrywanie
kreatywnych kompetencji i zagwarantu-
je czas na ich budowanie i rozwój. Patrząc
na życie w perspektywie 100 lat, inwestycje
w wiedzę oraz kompetencje związane
ze sprawnością i elastycznością umysłową
staną się kluczowe.

WRESZCIE RÓWNOUPRAWNIENIE PŁCI

Nie samą jednak pracą i edukacją żyje
człowiek. Jak zauważają Gratton i Scott,
dar długiego życia co do zasady ma cha-

rakter niematerialny. Co zatem z pozosta-
łymi dziedzicami naszego życia? Kończą-
ce się trzyetapowe życie sprawi, że warto-
ści niematerialne zaczniemy postrzegać
jako aktywa.

Z dłuższej perspektywy znaczenia na-
biera zwiększanie równowagi zasobów
materialnych i niematerialnych oraz dro-
gi dążenia do nich. Wieloetapowe życie
wreszcie doprowadzi do równouprawnie-
nia płci. Odejdziemy też od sztywnych po-
działów na pokolenia, które zaczną zani-
kać. Ważnym elementem myślenia o ży-
ciu staną się zasoby vitalne, oddalające
hobbessowską wizję epidemii niedo-lężno-
ści. W tej perspektywie kondycja i zdrowie
stają się wartościami jeszcze bardziej zna-
czącymi, a medycyna nabiera coraz bar-
dziej holistycznych kształtów.

Nie bez znaczenia pozostają w tym dłu-
gowiecznym scenariuszu przyszłości de-
cyzje rządów i budowanie nowych pro-
gramów społecznych – adekwatnych do
zmian, jakie następują już dziś. Długie ży-
cie to nie tylko wypłacana emerytura, ale
też zapewnienie możliwości rozwoju na
każdym etapie. Do nowej normy będzie-
my musieli dostosować nie tylko system
finansowy, zmiany bowiem wystąpią we
wszystkich obszarach – większe rodziny,
kilkuetapowa edukacja, odmienne podej-
ście do zdrowia, nowa moda – w związku
z jego wieloetapowością.

Aubrey de Grey powtarza, że już dziś żyją lu-
dzie długowieczni. Jesteśmy w przededniu
rewolucji. Już teraz pole do eksperymento-
wania coraz częściej nie zamyka się wraz
z metryką. Przyszłość oferuje nam nieprze-
widywalność wpisaną w świat, w którym
zmiana jest normą, a liczba możliwości sta-
le rośnie. Warto więc zadać sobie pytanie: co
pomyślaloby o mnie moje stuletnie Ja? Oraz
tak po prostu – zadbać o siebie. ●

Dr Edyta Sadowska

• zajmuje się m.in. prawem w kontekście
biopolityki, pracuje na Uniwersytecie Pedago-
gicznym im. KEN w Krakowie

A gdyby informatycy się nawrócili

PROGRAMISTO, BĄDŹ JAK ZENON Z KITION

Bóg mieszka w kwantach czy w psychodelikach? A może zstąpił między nas w ciele transhumanisty? – zastanawiają się młode wilki z Doliny Krzemowej

Magda Gacyk

Wyrzynają się prosto z beżowej wykładziny. Obra-
stają ambonę. Dorodne,
z kropkowanymi na bia-
ło pomarańczowo-czer-
wonymi kapeluszami,
sięgają kapłanowi kolan.
Święta amanita
muscaria, muchomor
czerwony, jedno z naj-
starszych źródeł sub-
stancji psychoaktyw-
nych, jakie zna ludz-
kość.

W świątyni roślin en-
teogennych Zide Door
w kalifornijskim Oakland to wprawdzie
tylko plastikowe erzace, ale przekaz jest ja-
sny: jesteś w miejscu, które czci i wyznaje
grzyby. Założyciel jednego z psychodelicz-
nych kościołów w Ameryce, Dave Hodges,
wierzy w teorię „naćpanej malpy”, według
której przełomem w rozwoju homo sa-
piens było użycie halucynogenów. Twórcą
hipotezy, jakoby na rozwój naszej świadomości
oraz rozszerzenie horyzontów my-
ślowych wpływ miało spożywanie psylo-
cybiny, zawartej w owocnikach niektórych
grzybów, był etnobotanik, autor bestselle-
ra „Food of The Gods” (Pożywienie Bogów)
Terence McKenna.

Oakland, na wschodnich rubieżach
Doliny Krzemowej, od lat cieszące się po-
nurą sławą jednego z najbardziej niebez-
piecznych miejsc w Stanach, należy do
kilku amerykańskich miast, które zde-
kryminalizowały psylocybinę.

Nabożeństwa, podczas których gło-
szone jest psylocybinowe słowo Boże,
nie cieszą się nadmierną popularnością,
choć prowadzący stara się, jak może: wy-
stępuje we wzorowanych na biskupich,
ceremonialnych szatach zdobionych li-
ściami marihuany, a jego kazania prze-
pójone są autentyczną pasją. Ale wier-
nych z roku na rok przybywa, być może
za sprawą sakramentu komunii w posta-
ci suszonych grzybków. Wyznawcy cenią
sobie, że sacrum można – dzięki niewy-
sokim datkom „na tacę” – wziąć na wy-
nos i spożyć w zaciszu domowym.

Przychodzą nie tylko z najbiedniej-
szych dzielnic, gdzie zabójstwa i rabun-
ki są na porządku dziennym. Przyjeżdża-
ją też wypasionymi teslami i jaguarami
z drugiej strony Zatoki San Francisco.

Parkują przed zniszczonym budyn-
kiem, a potem wchodzą do środka przez
pancerne drzwi, których strzegą potężni
ochroniarze. Wchodzą zmęczeni wetera-
ni wojenni z zespołem stresu pourazowe-
go, zestresowane młodzieki z prestiżowe-
go Uniwersytetu Stanforda i wypaleni do

cna inżynierowie z techkorporacji. I bio-
rą. Biorą grzyby w niewielkich liczbach,
by zwiększyć wydajność pracy przez mi-
krodawkowanie. Biorą też kosmiczne
dawki, po których znika ego i otwierają
się wrota Wszechświata.

Te ostatnie coraz częściej, bo Dolina
Krzemowa cierpi na chorobę duszy i roz-
paczliwie szuka lekarstwa.

CYFROWY ÜBERMENSCH SZUKA CZEGOŚ

– Dusza... Nie przepadam – krzywi się Da-
riusz Misiuna, socjolog kultury i religii,
psychonauta, tłumacz, założyciel wydaw-
nictwa Okultura. – Zbyt ściśle powiąza-
ne jest z nazewnictwem religijnym. Przy-
dałyby się jakieś współczesne zamienni-
ki. Hasło „dusza” można, oczywiście, eks-
ploatować ad infinitum, ale to idea usado-
wiona mocno w chrześcijaństwie i po-
przedzającym je platonizmie. Ekstraho-
wanie takiej koncepcji, bez kontekstu,
prosto z religii i wrzucanie do współcze-
sności jest mocno ryzykowne. Z drugiej
strony, warto pamiętać, że żyjemy w kul-
turze patchworkowej, w której wycią-
ga się pewne koncepty z różnych tradycji
i dokleja do kulturowego krajobrazu.

A „dusza” pasuje do tego pejzażu rów-
nież dlatego, że świetnie się sprzedaje.
Współcześni, głęboko zanurzeni w co-
dziennej trosce o byt materialny, potrze-
bują pewnej perspektywy uwznioślającej,
dającej im nadzieję na to, że życiu moż-
na nadać też inne, mniej banalne znacze-
nie. O tym merkantylnym aspekcie warto
pamiętać, bo często poszukiwania duchowe
podyktowane są narcystycznymi pró-
bami wzmocnienia ego. Uwniośleniem
w świecie banału, który bombarduje nas
nieustającymi wrażeniami.

Wśród entuzjastów postępu, którzy
licznie zasiedlają niekę na południe od
San Francisco, mało kto zauważył pierw-
sze objawy. Było dobrze. Ba, bardzo do-
brze wręcz było. Dolina Krzemowa wyda-
wała się działać jak doskonale naoliwio-
ne, techwizjonerskie perpetuum mobile.
Co rusz wypływała z siebie kolejne, rewolu-
cyjne technologie. Czelowała innowa-
cje. Szkoliła się w progresywności. Eko-
nomiści piali z zachwytem, że nieustają-
ca hossa, że technologiczna bonanza. Ale
w środku już coś zgrzytało od dłuższe-
go czasu. Seksizm i ageizm, z którymi Si-
licon Valley walczy dość nieskutecznie od
dekady. Ekonomia współdzielenia, która
miała być lokomotywą napędową nowe-
go, bardziej sprawiedliwego ładu, a bar-
dzo szybko wykołowała się na pasożytnic-
twie uosabianym przez takie firmy jak
Uber i Grubhub. Rozziew między techma-

gnatami a sektorem usługowym. Pierw-
sze strajki pracowników Tesli, buntują-
cych się przeciwko złym warunkom pra-
cy, odejścia pracowników Google w po-
czuciu zdrady przez firmę, która potajem-
nie, wbrew początkowej misji, podpisy-
wała kontrakty wojskowe. Techkorpora-
cje blokujące zakładanie związków zawo-
dowych. Samobójstwa wśród młodych za-
łożycieli start-upów.

O Dolinie Krzemowej zaczęto mó-
wić już nie jako o techutopii, która zmie-
ni rzeczywistość na lepsze, ale jako o bez-
dusznej machinie, która pograży świat
w dystopijnym chaosie.

Jej klasyczny przedstawiciel: innowator,
kreator nowego, programista, zaczął zsuwać
się z piedestału. Do niedawna był cyfrowym
Übermenschem. Odważnie patrzył w zdi-
gitalizowaną otchłań, a otchłań patrzyła na
niego. I nagle ta nietscheańska rzeczywi-
stość zaczęła mu się nieprzyjemnie zaginać.

Zero-jedynkowe rozwiązania nie przy-
nosiły oczekiwanych efektów. Zaczęły się
poszukiwania transcendentnego...

– Na metafizykę zawsze jest miejsce
– uważa Misiuna. – Szczególnie w Doli-
nie Krzemowej, która w metafizyce ma
doskonale rozpracowaną fizykę. Czas za-
tem na meta – perspektywę na przyjrze-
nie się życiu z dystansu, na nadanie więk-
szego sensu chaotycznemu rozkładowi
przypadkowej egzystencji. Mam nadzie-
ję, że te poszukiwania nie skończą się roz-
wiązaniami totalnymi, bo ciemną stroną
metafizyki jest upojenie wielkością, wiara
w odkrycie Prawdy Ostatecznej.

WIZJE TAK, CHRZEŚCJAŃSTWO NIE

Region wokół Zatoki San Francisco był
jednym z najmniej religijnych w USA.
Z badań Pew Research Center sprzed
dwóch lat wynika, że jedynie 42 procent
ankietowanych deklaruje wiarę w Boga.
To jednak się powoli zmienia.

Na forach internetowych Doliny Krze-
mowej coraz żywiej dyskutuje się o tym,
jak „osiągnąć duchową iluminację” czy „jak
zadbać o swoją duszę”. Oczywiście nie bra-
kuje sceptyków, zwłaszcza na mocno liber-
tariańskiej platformie Reddit. Betsy00101:
„Jaka duchowość? W Silicon Valley Lucy-
fera byśmy przekabacili. Zanim by się obej-
rzał, byłby techmagnatem, wyznającym
kod binarny”. MrocznyFanAlgorytmów żą-
da: „Tylko z żadną religijnością mi tu nie
wyskakiwać! Rasa Bezbożnych Technolo-
gicznych Panów niech panuje wiecznie!”.
Ktoś cytuje Jareda, bohatera serialu kome-
diowego „Dolina Krzemowa”: „Tu możesz
być bezczelnie poliamoryczny i będą po-
dziwiali cię za odwagę obyczajową. Możesz

sypać sobie mikrodawkę LSD do płatków
śniadaniowych i zostaniesz okrzyknięty
pionierem. Jednego, ale to absolutnie jed-
nego ci nie wolno: być chrześcijaninem!”.

Ale zaraz gaszą ich poszukujący. Płyn-
nyPłciowoPotwór: „My tu, w Silicon Val-
ley na razie nie potrafimy jeszcze zna-
leźć Boga przez – przyznajmy się – nasze
prymitywne technologie. Ale to, oczywi-
ście, tylko kwestia czasu. Na razie może-
my (i powinniśmy) szukać go w sobie na
wszelkie możliwe sposoby”. I Brutalna-
PrawdaWOczy: „Wy, ateistyczni techno-
kraci, nie potraficie sobie nawet tylków
podetrzeć bez technologii. Dlatego nie
zrozumiecie, co to jest duchowość”.

Niektórzy duchowe poszukiwania wspo-
magają psychodelikami. Do nich należy
Elon Musk, który na ostatniej CodeCon, do-
rocznej konferencji hakerów i techno-entu-
zjastów, zachęcał do otwarcia się na halu-
cynogeny. Niektórzy tworzą nowe Kościoły
jak Kościół Wiecznego Życia, który modlit-
wą i płomiennymi, transhumanistycznymi
kazaniami walczy ze śmiercią, Kościół
Epicki, który na niedzielne msze ściąga roc-
kowe kapele, żeby przygrywały wiernym,
czy VIVE, pentekostalny, charyzmatycz-
ny Kościół, wyjątkowo aktywny w mediach
społecznościowych, określający się jako
„hipsterski” i reklamujący swoje nabożeń-
stwa okolicznościowymi kawałkami rapera
przebranego za Marka Zuckerberga.

Część – jak Dave Asprey, twórca nootro-
pikowej – czyli stymulującej mózg – ka-
wy „Bulletproof” i jeden z najsłynniejszych
biohakerów-milionerów Doliny Krzemo-
wej, część sięga po „cyfrowy szamanizm”,
a część próbuje zanurzyć się w „kwan-
towym New Age’u”. Jeszcze inni kurczo-
wo trzymają się trashumanistycznej wia-
ry w technologiczny postęp lub odnajdują
siebie w tekstach starożytnych stoików. Do
tych ostatnich zalicza się założyciel Twit-
tera Jack Dorsey, twórca agregatora news-
owego Digg Kevin Rose czy najsłynniejsza
technologiczna oszustka Elizabeth Hol-
mes, założycielka Theranos, biznesowe-
go jednorożca, który miał produkować test
umożliwiający wykrywanie niemal wszyst-
kich chorób z kropli krwi, ale – tak jak ów
mityczny zwierz – okazał się iluzją.

Szukać nie muszą daleko. Wszystko
jest na miejscu, „ready made”. Każda du-
chowa potrzeba jest zaspokajana, każ-
de drgnienie jaźni rezonuje ze słynną
przedsiębiorczością Doliny Krzemowej.
Biznes duszy kwitnie.

MILIONER SMARUJE GŁOWĘ KRWIĄ JELENIA

Gabinet akupunktury w Palo Alto, miej-
scowości, gdzie Dolina Krzemowa się „za-



częła” pierwszymi garażowymi start-upami, to nowocześnie urządzone pomieszczenie: kremowe ściany, prosta kozetka, na ścianach ekrany, na których migają postaci ludzkie z mieniącymi się kolorowo meridianowymi kanałami i punktami refleksologicznymi.

Alejo („Tylko błagam bez personaliów, bo będę mieć jazdę z policją! Założmy, że mam na imię... Niech będzie Alejo! W moim kraju oznacza pomocnika. Ładnie, co?”) tłumaczy, że ostatnio diagnozuje głównie przy pomocy termografii medycznej, a nie przez wyczuwanie pulsu, a leczy laserem i prądem zamiast tradycyjnych igieł. – Ludożerka z branży IT uwielbia takie gadżety – wyjaśnia. – A wiadomo, że klient nasz pan.

Ów klient coraz częściej przychodzi do gabinetu nie po uleczenie somy, a psyche. Na boku Alejo oferuje bowiem usługi „oczyszczania duchowego” przy pomocy ayahuaski, silnie psychoaktywnego wywaru stosowanego od co najmniej tysiąca lat przez ludy Amazonii podczas rytualnego uzdrawiania. Głównym składnikiem mikstury są zdrewniałe pnącza Banisteriopsis caapi, które same w sobie nie powodują jeszcze halucynacji. By napój doprowadził do psychicznych „świętych wizji” (a na poziomie chemicznym: by „boska” cząsteczka DMT weszła w związek z antydepresyjną harmaliną), dodaje się najczęściej liście krzewu Psychotria viridis.

– Sprowadzam gotowca z Peru. Na nielegalu trochę, bo uprawianie tych roślin nie jest w USA zabronione, ale już spożywanie tak – wyjaśnia Alejo, który sam pochodzi z Gwatemali. – Niektórzy męczą się z surowcem od początku. Czyszczą to lyko, rozbijają, miażdżą listki, warzą całe zielisko w garach. Chcesz znać moją opinię? Szkoda prądu!

Bo Alejo ma sposób na wymagającego techklienta. Taki mały myk, może nie do końca etyczny, ale przecież nikomu krzywdę się nie dzieje.

– Kupuję ekstrakt, ale potem jeszcze go doprawiam – uśmiecha się łobuzersko. – Oni wszyscy przychodzą tu naumiani, nacytani, napęczniali od teorii. Oczekują porządnego detoksu, bo wszędzie jest napisane, że ayahuasca towarzyszą wymioty. Kosmiczne, nicujące na wylot, od trzewi. Szczerze? Tak wcale nie musi być, ale oni wszyscy na to liczą, więc dodaję odrobinę środka wymiotnego, żeby mieli sto procent satysfakcji. Rzygają dalej, niż widzą! A jacy zadowoleni wszyscy potem! I ceny mam konkurencyjne!

W Dolinie Krzemowej rytuał aya, w najbardziej przyjaznym cenowo wariantcie, kosztuje od 250 do 500 dolarów. To jednak tylko podstawowa wersja. Taki „instant”: żadnego szamaństwa, żadnych obrządków, filiżanka płynu i „prowadzący”, który pilnuje, czy nie ma wahań ciśnienia, depresji oddechowej lub groźby ogólnej zapaści. Podczas całego procesu trzeba sobie radzić samemu ze zwidami. Jeśli jednak ściągnie się dodatkowo na ceremonię natywnego szamana, koszt wzrasta o dobre tysiąc dolarów. Oczywiście, można też zafundować sobie podróż do Ameryki Południowej

– Najbardziej wypasione ośrodki ayi są chyba w Kostaryce – Gwatemalczyk zastanawia się chwilę. – No i w Peru, oczywiście. Ale tam to jest już przegięciowo zmaksowane: szamani, pióra, post, medytacja, sakralna muza... Słyszałem o takich tygodniowych turnusach dla techmagnatów niedaleko Limy, gdzie po wypiciu ayahuaski szaman naciera im głowy krwią świeżo zabitego jelenia i każe wchodzić na okoliczną górę. Sprytne, co? Bo oni jak się napocą, narzygają i namęczą, to są mega wdzięczni za

takie doświadczenie. I bulą! 10 tysięcy dolarów! Psychedelics rule!

PRZYSZŁOŚĆ BĘDZIE PSYCHEDELICZNA

Nie ma wątpliwości Dariusz Misiuna: – Na planecie przybywa nas w postępie geometrycznym i nasza potrzeba przestrzeni jest coraz bardziej naruszana. A skoro kurczy się pole zewnętrzne, to emigrujemy do wnętrza. Środki psychoaktywne mogą nam pomóc w odnajdywaniu sfery wewnętrznej poprzez rozwijanie mocy umysłu i potęgi wyobraźni. Ale dla władzy to może być bardzo przydatne narzędzie, dzięki któremu możliwe stanie się zamknięcie ludzi w ciasnych puszkach aglomeracji miejskich. Niech siedzą, podłączeni do psychodelicznych kroplówek, wyświetlając sobie w głowie wizje. W dyskusji o psychodelikach ten kontekst społeczny jest zupełnie pomijany.

Misiuna ocenia, że raczej wcześniej niż później dojdzie do legalizacji substancji psychodelicznych, ale przede wszystkim do celów medycznych. Dlatego oficjalną akceptację zyskają substancje syntetyczne, natomiast naturalne psychodeliki jeszcze długo będą zakazane. Tak wytworzą się dwa nurty – zwolennicy technokracji optujący za ściśle licencjonowanym wykorzystaniem syntetycznych psychodelików oraz miłośnicy „powrotu do natury”, optujący za rytualnym wykorzystaniem psychodelików w kontekście neoszamańskim. Ten podział będzie – zdaniem socjologa – odzwierciedlał ogólny podział społeczeństw przyszłości na „technokratów” i „naturalistów”. Pomiędzy nimi będą się toczyły wojny przyszłości.

Alejo zgadza się, że psychodeliki będą przyszłością, ale uważa, że Silicon Valley ma wobec nich oczekiwania również bardziej przyjemne.

– To rzeczywiście mocarny środek. Sam widziałem, że pomaga w depresji, uzależnieniach, przepracowaniu traumy. Ale niektórzy twierdzą nawet, że leczy raka. A w dodatku bogacze z Doliny owszem, szukają oświecenia, ale przy okazji liczą, że wizje przyniosą im pomysł na kolejną rewolucyjną innowację, którą będzie można szybko i łatwo spieniężyć.

– Pod tym względem są niebawem upierdliwi – krzywi się Alejo. – Jak mam grupę technokratów, to przychodzą, siadają i od razu... networking! I pytlują! Kto ma jakie plany startupowe, którą firmę chce przejąć, jaki wynalazek im się w głowach roi.

– Kłopot z czerpaniem pełnymi garściami z szamanizmu przez kulturę Zachodu jest taki, że prędzej czy później dochodzi do czołowego zderzenia zupełnie odmiennych mentalności – zauważa Misiuna. – Po jednej stronie jest tradycja chrześcijańska, dość monolityczna, mimo drobnych teologicznych i ideologicznych oboczności, a po drugiej szamanizm, gdzie rzeczywistość fizyczna i metafizyczna nie są oddzielne, a wzajemnie się przenikają, tworząc integralną całość. Tym niemniej doskonale rozumiem urok szamanizmu dla ludzi Zachodu, bo jest to światopogląd w gruncie rzeczy bardzo praktyczny, zajmujący się również sprawami przyziemnymi, rozwiązujący codzienne problemy „tu i teraz”. To w końcu tradycja, która wzięła się z uzdrawiania. Do tego dochodzi jeszcze nęcąca egzotyka oraz – klasycznie kapitalistyczne poszukiwanie nowych rynków zbytu, nowych „duchowych towarów”:



➤ wierzeń, instrumentów czy technologii metafizycznych. Misiuna podkreśla, że niezależnie od wszystkiego, te techniki jak najbardziej mogą działać. – Jeśli nie realnie, to symbolicznie. A my przecież jesteśmy istotami symbolicznymi, więc takie działania odgrywają ważną rolę, wbrew głosom, które apełują o wyrugowanie „zabobonów” z życia codziennego i stricte scjentystyczne podejście do rzeczywistości.

JEDEN GLOBALNY UMYŚŁ

Ale czy prastare rytuały, choćby w najbardziej uwspółcześnionej formie, pasują do homo sapiens 3.0? Czy nie są jak prehistoryczne stroje, niezdarnie utkane z włókien roślinnych i kawalków zwierzęcych skór, w których chcemy lecieć w kosmos, zamiast założyć skafander astronauty? Czy już nie czas na zmodernizowaną duszę w nowym ubraniu?

Alex Vikoulov jest przekonany, że tak. – Wyobraź sobie, że świat internetu, ten globalny system, który znamy w dwuwymiarowym wariacie, przekształca się w zaawansowany metawers. Staje się trójwymiarową siecią. I wyobraź sobie, że to swego rodzaju nasza trzecia półkula mózgowa, coś jak zewnętrzny umysł, dzięki któremu będziemy mieli dostęp do absolutnie każdej informacji i każdego doświadczenia wirtualnego, jakie tylko nam się zamarzy.

Alex jest rosyjsko-amerykańskim futurologiem i filozofem umysłu, autorem książki o cybernetycznej kulturze, w tym ostatniej: „Hipoteza Syntelektu”. Należy do tych, dla których religią jest postęp technologiczny. Sam określa się mianem neotranscendentalisty.

– Będzie można wcielić się w dowolną postać z historii ludzkości. W wymyśloną istotę również! Cały wachlarz cybernetycznych istnień zapewni nam zaawansowane AI. Ale nie martw się, umiejętność syntetycznej telepatii i stapianie umysłów w jedność nie stłamsi twojej osobowości. Wręcz przeciwnie. Znacznie ją rozszerzy i wzbogaci. Zobaczysz... Będziemy mieć Jeden Globalny Umysł, ale pozostaniemy indywidualni, ponieważ chodzi o indywidualne, świadome przeżywanie.

Vikoulov propaguje teorię Ery Syntelektu, epoki, która nadejdzie, gdy Globalna Gaia: całkowicie zdigitalizowana planeta, opleciona gęstą, neuronową siecią miliardów hiperpołączeń między ludźmi a ultra-inteligentnymi maszynami, z bilionami sensorów w każdym zakątku Ziemi, obudzi się jako jeden świadomy, kompleksowy ekosystem.

– Brzmi jak science fiction? To pomyśl, jaką drogę przeszliśmy... Wciąż redefiniujemy pojęcie istoty ludzkiej. Człowiekowi epoki kamienia łupanego człowiek ery informacji wydawałby się wszechmocnym bogiem. Ewolujemy nieustannie. I jesteśmy ćpunami transcendencji: przekraczanie granic, w tym duchowych, jest nam niezbędne do rozwoju. Do tej pory byliśmy w stanie wylapywać jedynie ulotne, transcendentalne momenty, podczas psychodelicznych podróży czy głębokich medytacji. Dzięki nowoczesnym technologiom wreszcie się to zmienia. Jesteśmy w końcu transhumanistami, nieustannie przekraczającymi własne granice.

MINDFULNESS, WELLNESS, „MIĘŚNIE EMPATII”

Właśnie, transhumanizm. Ten twardy – z genezą w mistycznym kosmizmie rosyjskim, z ontologią techewolucji i eschatologią wirtualnego raju, w którym zbiorcza świadomość ludzkości jest na stand-by, wgrana na twardy dysk neuronowego komputera i gdzie zmarłych można wskrzeszać dzięki archeologii kwantowej – był przez lata główną techreligią w Dolinie Krzemowej. Ostatnio szeregi wiernych zaczyna-

My tu, w Silicon Valley, na razie nie potrafimy znaleźć Boga

przez nasze prymitywne technologie. Ale to, oczywiście, tylko kwestia czasu

ją się przersedzać. Odchodzą nawet najzarliwsi wyznawcy.

Kilka miesięcy temu podwoje swojego transhumanistycznego Kościoła zamknął jego twórca, genialny inżynier i guru technologii związanych z autonomicznymi pojazdami, Anthony Levandowski.

Kościelne fundusze zostały przelane na cele charytatywne, strona internetowa zdeaktywowana, a sam założyciel nabrał wody w usta w kwestii likwidacji Way of Future, pierwszego na świecie miejsca kultu AI.

W Kościele Levandowskiego bóstwem został bowiem algorytm, a liturgia była poświęcona Zmianie, czyli nastaniu Osobliwości Technologicznej, momentowi, gdy komputery wypredzą człowieka w każdej dziedzinie.

Na Twitterze wierni pytali: „Czy zatem Bóg-Człowiek może stworzyć tak omnipotentną sztuczną inteligencję, że nawet on sam nie będzie w stanie dorównać jej intelektem?”. Hasztag: wayoffuture.

Algorytm Levandowskiego nie odpowiadał.

Coraz częściej odpowiadać na potrzeby wygłodniałych duchowo technokratów zaczęli za to bossowie techkorporacji i startupów, organizując w firmowych salach konferencyjnych zajęcia z mindfulness, sesje masażu lomi lomi czy weekendowe wypadki relaksacyjne do kalifornijskiego Instytutu Esalen, położonego na malowniczym klifie nad Pacyfikiem. Te ostatnie są niezmiennie popularne, bo ów posthippisowski eden cieszy się świetną renomą. Już w latach 60. przyjeżdżali do niego pisarze i poeci (by czerpać wenę), mnisi buddyjscy (by nauczać) i członkowie zarządów spółek IT (by oczyścić się na makrobiotycznej diecie, pokrażyć nago po kamiennym labiryncie medytacyjnym i zasilić skarbiec instytucji poważnymi darowiznami).

Daniela Porr, specjalistka zarządzania kapitałem ludzkim w Workday, międzynarodowej firmie z Doliny Krzemowej tworzącej aplikacje w chmurze dla sektora finansowego, uważa, że wcale nie potrzeba egzotycznych podróży i ezoterycznych rytuałów, by zadbać o dobrostan pracownika.

– Najważniejsze to stawiać go na pierwszym miejscu – mówi Daniela, której firma od lat przoduje w ratingach na najlepszego pracodawcę. – Nie produkt, nie innowację, nawet nie klienta, a właśnie pracownika. Pytasz, skąd takie odwrócenie klasycznej hierarchii Silicon Valley? Proste: dzięki szczęśliwym pracownikom mamy szczęśliwych klientów. Żeby było to podejście skuteczne, musimy brać pod uwagę kwestie przynależności do firmowej wspólnoty, niewykluczania, różnorodności i równego traktowania wszystkich.

Wellnessowe programy ma połowa niewielkich spółek i ponad osiemdziesiąt procent techkorporacji. Sporo porusza się jednak jeszcze po omacku, jeśli chodzi o zaspokajanie potrzeb duchowych pracownika. Wśród ekspertów od HR w San Francisco krążą opowieści o przestrzelonych inicjatywach, jak historia pewnego start-upu, w którym promowano ideę głodówki jako zwiększającej moce mentalne i witalne, nie mając świadomości, że w zespole znajdują się osoby z zaburzeniami odżywiania, których stan znacząco się pogorszył.

– Dlatego tak ważne jest wyczulenie na każdego człowieka oraz zrozumienie kulturowego ekosystemu nie tylko globalnie, ale i lokalnie – podkreśla Porr. – A także, niezbędne dla liderów, trenowanie „mięśni empatii”. Inaczej żadne programy nie będą działać.

Potwierdzają to dane. Projekty mające poprawić dobrostan pracowników, szeroko zakrojone, a nie przycięte na indywidualną miarę, są nieskuteczne. Trzyletnie badania naukowców z Harvardu i Uniwersytetu Chicagowskiego pokazują, że lepsze samopoczucie deklarowało zaledwie osiem procent tych, którzy korzystali z korporacyjnych wellnessowych inicjatyw. Reszta nie widziała zmian, choć amerykańscy pracodawcy dwoili się i troili w wysiłkach, wydając co roku osiem miliardów dolarów.

ZENON Z KITION, PIERWSZY START-UPOWIEC

A co, jeśli te rozrywki dla duszy prowadzą donikąd? Jeśli są hedonistycznym ślepym zaułkiem? O bezcelowości takiego podejścia przekonana jest coraz liczniejsza rzesza inwestorów i ekspertów z branży IT, którzy nade wszystko cenią sobie hartowanie duszy. Nieroztkliwianie się nad sobą, branie w cugle emocji, powściąganie uczuć. Stoicy Doliny Krzemowej.

Zenon z Kition i jego nauki znajdują coraz większy posłuch w światowej stolicy innowacji.

– To dlatego, że był przedsiębiorcą – powtarza w wywiadach Ryan Holiday, autor bestsellerów o technologicznym stoicyzmie „Ego jest twoim wrogiem” (Ego Is The Enemy) i „Trudność jest drogą” (Obstacle Is The Way). – I świetnie rozumiał mentalność handlowca.

Planeta opleciona neuronową siecią miliardów połączeń między ludźmi a inteligentnymi maszynami, z bilionami sensorów w każdym zakątku Ziemi

Sam Holiday, zanim stał się popkulturową, stoicką wyrocznią, pracował jako marketingowiec amerykańskiej firmy odzieżowej. Wie, jak atrakcyjnie opakować produkt. A myśl filozofa sprzed ponad dwóch tysięcy lat okazuje się chodliwym towarem.

Do współczesnych technokratów rzeczywiście przemawia biznesowa przeszłość Greka z niewielkiej, cypryjskiej miejsciny, który zainwestował w drogocenny barwnik pozyskiwany ze szkarłatników, licząc, że sprzeda skrzynie purpury tyryjskiej z dużym zyskiem i któremu sztorm zatopił cały ładunek. I który się nie poddał, lecz – używając biznesowej nowomowy – „zrobił pivot”, „skutecznie zarządził zmianą” i „przeformatował się” z handlarza wydzieliny morskich ślimaków na filozofa opanowania i wstrzemięźliwości.

Niemal każdy właściciel start-upu identyfikuje się z taką narracją: nadzieje, wzloty i upadki, straty i zyski. Stoicko-start-upowa maksyma: „Fortuna kołem się toczy”. Dlatego wielu regularnie zagląda na łamy internetowego „Codziennego stoika”, który prowadzi Holiday. Mogą znaleźć tam takie filozoficzne perły jak: „Być szczęśliwym? II strategii sprawdzonych przez ostatnie 2 tysiące lat” („Skup się na tym, co możesz kontrolować, a nie na tym, co jest poza twoją kontrolą. Zajmij się wyteżoną pracą, ale nie przejmuj się jej efektami”) oraz „Jak radzić sobie z niegrzecznymi ludźmi” („Kiedy ktoś go obrażał, rzymski polityk Katon udawał, że tego nie zauważa. Bądź jak Katon”). Można też kupić medalion („nasz bestseller”) z napisem „memento mori” i wygrawerowaną trupią czaszką.

A dla tych, którym mało, popularna w Dolinie Krzemowej aplikacja „Waking Up” proponuje regularne „medytacje negatywne”, w czasie których można przeciwyczyć się w biegleści myślenia kontrafaktycznego i wyobrazić sobie, co może pójść źle i nie tak w zaistniałej sytuacji. Możliwości są nieskończone.

Podobnie jak w poszukiwaniu Czegoś Więcej. Bo prócz stoicyzmu, szamanizmu i transhumanizmu – wyznań niemal już masowych – świetnie wykształcone matematyczne umysły krążą wokół: hakowania świadomości (serie praktyk medytacyjnych, katalizowanych nootropikami oraz lekami wspomagającymi pracę mózgu), dopaminowych głodówek (okresowe odcięcie się od wszelkich przyjemności, które pobudzałyby mózgowy ośrodek nagrody, a w efekcie powodowałyby wyrzut neurotransmitera dopaminy; wszystko po to, by doświadczyć Absolutu) czy komputerowej wersji świętej geometrii (wiara, że geneza i plan wszelkiego stworzenia, od kształtu naszego DNA poprzez strukturę płatków śniegu po budowę galaktyk, zawarte są w formach geometrycznych, ergo: Bóg jest Wielkim Geometronem i należy go kontemplować poprzez obserwację fraktali).

Czyli wokół wierzeń zbyt niszowych lub zbyt odjechanych, by opisywać je jako poważny trend. Ale dowodzących tym dobitnie, że Dolina Krzemowa przypomina dziś duchowy tygiel, niczym Bizancjum i Bliski Wschód w pierwszych wiekach po Chrystusie, gdzie w każdej miejscinie co roku rodziły się i upadały najdziwniejsze herezje, sekty, filozofie. Cyfrowa dusza wyrwała się z ograniczeń kodu binarnego i nie zamierza dać się ponownie zdefiniować ciągiem zer i jedynek.●

*Magda Gacyk

• dziennikarka i tłumaczka, z wykształcenia socjolożka, od dwóch dekad obserwuje i opisuje nowe zjawiska na styku techniki, ekonomii i kultury w Dolinie Krzemowej, autorka książki „Ścigając Steve’a Jobsa. Historie Polaków w Dolinie Krzemowej” i właśnie wydanej opowieści o najgorętszym trendzie w Dolinie Krzemowej, technologicznym tuningu człowieka i próbach osiągnięcia nieśmiertelności – „Zabawy w Boga. Ludzie o magnetycznych palcach”.

HIGH DIVER.1957 SITODRUK © A.C.FINE ART INC.



A gdybyśmy byli całkowicie bezpieczni

CIŚNIENIE W NORMIE

Obligatoryjne monitorowanie poziomu testosteronu, kortyzolu i endorfin pozwoli okiełznać tzw. zachowania ryzykowne

Jan Kowalski

est 5.30, gdy w mieszkaniu Kowalskiego ożywa inteligentny głośnik.

– Dzień dobry. Według danych z ostatniego tygodnia statystycznie przesypiałeś odpowiednią liczbę godzin. Powodem do niepokoju pozostaje jednak zmiana nawyków żywieniowych. Jak się czujesz?

Kowalski zrywa się na równe nogi. Po tym, jak zaimplementowali Asystentów w każdym gospodarstwie domowym, szybko się połapał, że taktyka „poduszka na głowę i jeszcze kwadrans” nie działa. Doczłapał – starając się zachować odpowiednią z punktu widzenia kinetyki i ortopedii postawę – do łazienki.

– Powtórz czynność! Czas mycia rąk nie odpowiada zalecany normom. Mycie rąk to nie tylko twoje zdrowie.

Kowalski zdusił przekleństwo – mikrofony pojemnościowe czuwają – i wyłączył inteligentną szczoteczkę.

– Mycie i nitkowanie zębów zapobiega przewlekłym stanom zapalnym, a także uprzyjemnia codzienne funkcjonowanie twoim współobywatelom! Jest 6.30. W okresie dojrzewania czas snu powinien być proporcjonalnie wydłużony. Młody przespał już 10 godzin. Obudź swoje dziecko!

W kolejce antygravitacyjnej Kowalski i Młody milczą. Nawet nie dlatego, że nastolatek urodzony po Osobliwości i 40-latek pamiętający dziadocen mają niewiele wspólnych tematów. Kiepsko się gada w obowiązkowym kasku, gdy z interkomu dobiega:

– Podróż do miejsca docelowego potrwa 5 minut 45 sekund. W razie wystąpienia niepokoju lub podwyższenia tętna podczas podróży zalecamy natychmiastowy powrót do miejsca zamieszkania i pracę zdalną do momentu ustąpienia objawów, a w przypadku utrzymywania się objawów kontakt ze specjalistą.

Co z tego, że pokonaliśmy wirusy, jeśli ludzka natura nie zmieniła się znacząco od paleolitu. Przez nieodpowiedzialne zachowania wciąż grozi nam wizyta na urazówce. Zachowanie wynika z ludzkiej natury, więc tę należy konsekwentnie modyfikować. Stąd, choć od Osobliwości minęło już ładnych parę lat, niezbędne pozostają kampanie informacyjne – w metrze, szkole, przed odcinkami seriali: „Zapanuj nad ludzką naturą”, „Zdrowy obywatel to zdrowe społeczeństwo”, „Nie bądź zakładnikiem biologii” czy „Szkodliwe nałogi przeszłości”.

Zachowania ryzykowne, przez ekspertów określane jako „risk-taking”, podejmowali w przeszłości głównie młodzi mężczyźni. To oni byli klientelą SOR-ów, kilkakrotnie rzadziej zapinali pasy w samochodach – ryzykowali nie tylko własne, ale również cudze zdrowie. Uprawiali skrajnie niebezpieczne sporty ekstremalne albo – w społeczeństwach ubogich – uczestniczyli w wojnach i padali ofiarą morderstw. Ryzyko podejmowali na każdym polu – nie zgłaszali się na badania kontrolne i nie przestrzegali zaleceń lekarskich, ryzykowali finansowo, uprawiali hazard. Big Data wspierana – testosteron! – farmakoterapią sprawiła, że proporcje zachowań ryzykownych u obu płci nie-

mal się zrównały. Status hormonalny każdego mężczyzny jest na bieżąco monitorowany.

Głównym źródłem zagrożenia pozostaje patogen f – od future. Dlatego wprowadzono obowiązek profilaktycznej dezynfekcji każdego przedmiotu wprowadzanego do naszego domowego ekosystemu z zewnątrz. Jako że większość czasu spędzamy w zamkniętych pomieszczeniach, redukcji chorób zakaźnych towarzyszy wzrost chorób alergicznych i autoimmunologicznych. Lecz upowszechnienie się astmy, alergii, choroby Crohna czy nieswoistego zapalenia jelit, które można przecież leczyć, to niewielka cena, jaką ludzka biologia wystawiła nam za poczucie bezpieczeństwa, którym nie mógł cieszyć się żaden z naszych przodków.

Ograniczeniu tego ryzyka służy modelowanie zachowań społecznych. Już udało się wyeliminować gotówkę, obecnie trwa – na razie bez specjalnego odzewu, ale pozostajemy optymistami – kampania „Nim przytulisz, poproś o pokazanie aplikacji Mikrobiom”.

Racjonalną, wynikającą ze statystyki i ekonomii wspólnego dobra decyzją było wprowadzenie czujników temperatury ciała nie tylko w miejscach publicznych, ale i w mieszkaniach. Jesteśmy w stanie wylapać każde indywidualne zachorowanie. Nie tylko COVID-19 czy grypę, ale też katar czy infekcję rotawirusem.

Kowalski zamiera, gdy pierwsza ze służ w holu biurowca zaczyna wibrować. – Poproszę z nami – Dementor jest uprzejmy, lecz stanowczy. – To dla wspólnego dobra.

Dawno tu nie był, ale czuje się jak w domu. W końcu Izolatoria są wszędzie – w biurach, przedszkolach, centrach handlowych, na kempingach – takie same. Choć wie, że nie wygra, stare nawyki sprzed Osobliwości biorą górę i próbuje się stawiać. – Temperatura, oddech, ciśnienie mam w normie! Nie macie prawa! – Zgadza się, ale bramka odnotowała ponadnormatywny poziom kortyzolu. A jak panu wiadomo, hormon stresu może wskazywać, że...

– Że, do cholery, mam projekt na wczoraj!

– Używanie wulgaryzmów może pogorszyć nie tylko pana sytuację prawną, ale i dobrostan. Korelacja kortyzolu oraz nieodpowiedzialnych zachowań z kilku ostatnich poranków odnotowana przez Asystenta...

– To tylko przemęczenie! Naturalna reakcja fizjologiczna.

– Analiza danych z opaski pokazuje niepokojącą sekwencję. W ciągu kwartału zgromadził pan punkty karne powyżej średniej w pana wieku. 3 tygodnie temu przekroczył pan na rowerze prędkość w centrum miasta, zwiększając o 30 proc. ryzyko wypadku. 8 tygodni temu przez kwadrans jechał pan bez kasku. Do tego tylko w tym miesiącu pięć razy pracował pan do późnej nocy. W ocenie Big Data to...

– Zbliżał się termin oddania projektu...

– Nie możemy ryzykować. Proszę z nami.

Pakiet reform – nazwany Osobliwością, by nawiązać do wyczekiwanego w późnym antropocenie, potocznie nazywanym dziadoceniem, scenariusza technologiczno-społecznego przełomu, który całkowicie odmieni ludzkość – zgodnie przyjęły wszystkie globalne siły polityczne i światopoglądowe. Zarządzający enklawami wykrojonymi z państw narodowych progresywiści, altrightowcy, antynataliści, dżihadyści, katolicy przedsoborowi i neoewangeliści, rządy Wielkiej Chinyafryki, Stanów Zjedno-

czonych Obu Ameryk, Unii Zachodnioeuropejskiej i Paktu Nowowarszawskiego oraz przedstawiciele tzw. Big Hundred, największych korporacji notowanych na NYSE i NASDAQ zgodnie uznali, że Osobliwość spełnia główny postulat leżący u podstaw ich systemów wartości. Pozwoli kontrolować popędy i okiełznać nieodpowiedzialne aspiracje jednostek. Zbawienie, postęp, naród, egalitaryzm, oświecenie, efektywność – to tylko kwestia terminologii; wszystkim chodzi o stworzenie uporządkowanej wspólnoty ludzi szczęśliwych.

Sprzeciw zgłosili tylko liberalowie – co złośliwsi nazywali sojusznik reformatorów

Nikt już nie musi pracować 16 godzin na dobę, ale gdyby chciał zaburzyć właściwą proporcję snu i zasiedzieć się do późna z książką lub Netflixem, opaska zadba o jego dobrostan

„New Model Army”, zupełnie bez sensu, bo przecież Cromwell był fanatykiem – ale wytłumaczono im, że są mniejszością, co potwierdzają algorytmy analizujące najbardziej miarodajną przestrzeń obywatelskiej aktywności, jaką są media społecznościowe.

Niestety ludzka natura stanowi produkt ewolucji i wciąż poszukujemy doznań (np. przyjemność płynąca z jedzenia tego, co słodkie i kaloryczne, kiedyś pozwalała gromadzić zapasy, ale niedostatek nie stanowi już problemu), więc w szkolnych programach filozofii – niewskazaną, gdyż wywołującą dysonans poznawczy oraz dyskomfort konfrontacji z odmiennym, szkodliwym myśleniem – zastąpiono kursem ogólnym „Ludzka natura. Jak ją kontrolować”.

Zachowania antyzdrowotne monitorowane są na bieżąco. Alkohol pozostaje dopuszczony do użytku w wybrane niedziele w roku, po złożeniu wniosku z uzasadnieniem i przejściu badań. Wniosek zostaje przyjęty do rozpatrzenia, jeśli obywatel dysponuje odpowiednią liczbą punktów. Można je zgromadzić, np. odżywiając się odpowiedzialnie, w czym pomaga inteligentna lodówka, zamawiając produkty dostosowane do wieku, potrzeb i aktualnego zbilansowania tygodniowej diety. Unikanie pokus ułatwia likwidacja detalicznego handlu spożywczego – oszczędzamy czas i ekosystem (choждение lub jazda rowerem cargo po sprawunki emituje dwutlenek węgla) dzięki dbającej o naszą spiżarnię sztucznej inteligencji.

Ale że wciąż istnieją jednostki odporne na wzmocnienia pozytywne, niekiedy za chodzi przykra konieczność zastosowania wzmocnienia negatywnego. Spożycie przeterminowanego jedzenia (zakła-

da się premedytację, bo dostęp do niego jest trudny – AI dba, by nic się nie marnowało, a nieliczne produkty, które umknęły procedurze, są utylizowane; przekazanie ich obywatelom w kryzysie bezdomności godziłoby w ich godność) oznacza skierowanie na obowiązkową sesję u psychoterapeuty.

Podobnie zarywanie nocy – nikt już nie musi pracować 16 godzin na dobę, ale gdyby chciał zaburzyć właściwą proporcję snu i zasiedzieć się do późna z książką lub Netflixem, opaska zadba o jego dobrostan. Liczba godzin snu poniżej średniej w miesiącu jest podstawą do obowiązkowej porady specjalisty.

w Muzeum Wypaczeń serwery YouTube'a z epoki dziadocenu, mówią, że przypomina im gości, którzy w popularnych filmikach opowiadali o prawie naturalnym, cnotach dziewczęcych i o tym, że to św. Gates zaplanował depopulację za pomocą szczepionek na COVID. Może nie w przekazie, ale w arywistycznym zapale.

– Sport, drodzy, wciąż stanowi dla naszego społeczeństwa wyzwanie! Pomaga w zachowaniu zdrowia, ale z uzasadnionych naukowo powodów wiele sportów jest obecnie zakazanych. Kontaktowe sporty walki czy sporty ekstremalne to jeden z barbarzyńskich nałogów minionych stuleci podporządkowanych idei wzrostu i podboju! Różnica między boksem, downhilliem czy narciarstwem alpejskim a walkami gladiatorów jest ilościowa, nie jakościowa!

Na szczęście łatwiej wylapać i napiętnować zachowania ryzykowne, które odbywają się w oplecionej siecią czujników i dronów przestrzeni publicznej. Coraz rzadziej zdarza się, że opaska musi mitygować rowerzystę komunikatem „przekroczyłeś prędkość o 2 kilometry na godzinę”. Piętnowane lekkim impulsem elektrycznym przekroczenia limitu 20 km/godz. o 10 km i więcej już praktycznie wyeliminowaliśmy.

Aspoleczne indywidualne rozmowy oraz sugerujące planowaną niewskazaną aktywność nadmierne pobudzenie są na bieżąco monitorowane dzięki rejestratorom mowy oraz zdalnym encefalografom w chodnikach i tzw. małej architektury. Nie wszystkie pomysły z dziadocenu zasługują na procedurę cancelowania – owszem, tak szkodliwe dla psychiki i współżycia społecznego materiały jak „451 stopni Fahrenheita” słusznie wyeliminowano, ale inne – jak „Raport mniejszości” niejakiego Philipa K. Dicka – przysłużyły się Nowej Wspólnocie. Za jego wskazówkami opracowuje się strategię karania prewencyjnego na podstawie korelacji opracowanego przez psychologów społecznych wzorca rozmów z innymi zachowaniami aspolecznymi i autodestrukcyjnymi.

Niemniej niepokoi, że niektórzy łamią normy bezpieczeństwa z premedytacją – ostatnio milicja odnotowuje falę rowerzystów jeżdżących bez kasków, którzy podczas sesji terapeutycznej deklarują, że zażenowaniem, że „coś ich podkusiło, żeby zrobić na przekór”. Być może stale rozwijana behawioralna Big Data dostarcza informacji pozwalających zrozumieć to zjawisko.

Ryzyko uzależnienia niesie również sztuka. Eksperci doceniają to, że stanowi doskonałe spoivo społeczne, ale zalecają ostrożność w tych jej dziedzinach, które budzą silne jednostkowe i zbiorowe emocje. Dlatego koncerty są pod ścisłą kontrolą – zakazane jest pogo i skakanie w tłumie, ale też zbiorowe wymachiwanie świecącymi smartfonami. Nie są, rzecz jasna, niebezpieczne fizycznie w przeciwieństwie do antycznych zapalniczek, ale powodują zbyt silny strzał hormonalny. Istotny jest też wymiar solidarnościowy – relacje z takich wspólnotowych wydarzeń są dodatkowym stresem dla osób w różnorakich kryzysach psychicznych lub wykluczonych społecznie. Przed wejściem na stadion lub do klubu należy okazać aktualne EKG.

Kowalska ma dość. Młody od kilku godzin nie daje jej spokoju. „Co robimy, co robimy, nudzi mi się, co robimy!”. – Odpal okulary VR – rzuca na odczepnego.

– Maaamaa! A co to jest „Kickboxing, 100 Procent Real Fight”!

Jezu. Odpalił, ale ojca. Skąd Marian wytrzasnął ten stuff, z darknetu?

– Stasiu, pssst. Jeszcze Asystent usłyszy.

Ponieważ najwięcej wypadków ma miejsce w domu, wycofano ze sprzedaży detalicznej niebezpieczne sprzęty biurowe (zszywacze, nożyczki) oraz gospodarstwa domowego. Popularne kiedyś patelnie i garnki o wysokiej temperaturze nie są niezbędne do zachowania zbilansowanej diety. Drabinę można wypożyczyć w dzielnicowym ośrodku aktywizacji społecznej, w jej bezpiecznym użyciu pomoże asystent-operator. Również o wymianę żarówki zadba rządowy ekspert legitymujący się certyfikatem bezpieczeństwa. Wciąż zdarzają się potknięcia i upadki ze schodów. Wyeliminowanie tego ryzyka pozostaje przedmiotem nieustannych analiz i debat – niestety normy bezpieczeństwa i przepisy pożarowe nakazują budowanie schodów jako alternatywy dla wind również w najnowszych, administrowanych przez AI budynkach.

Wciąż nie rozwiązano problemu ze starym budownictwem – sensory w budynkach sprzed roku 2030 są niezbyt czułe i nie wszystkie zintegrowane z siecią. Nie tylko utrudnia to analizę danych. Zdaje się, że aspoleczni obywatele w poszukiwaniu szkodliwego – wyrzut hormonów! – dreszczyku emocji sami wykonują drobne prace remontowe. Lub gorzej, przygaszając światło, oszukują system, by uniknąć punktów karnych za niewystarczającą (lub zbyt dużą – endorfiny uzależniają i już dziaderska psychiatria sprzed Osobliwości rozpoznała chorobliwe uzależnienie od sportu) dzienną ilość ruchu lub zbyt krótki sen. Niektórzy nawet hakują opaski i spożywają niekoncesjonowany alkohol.

Wuefista jest ulubionym obiektem beki Młodego, jego funfelek i funfli. Ci, którym za pomocą VPN-a udaje się wbić na przechowywane

MAY DAY 1970 AKRYL NA PŁYCIE PILŚNIOWEJ © A.C.FINE ART INC.



Eksperci doceniają, że sztuka stanowi doskonale spoivo społeczne, ale zalecają ostrożność w tych jej dziedzinach, które budzą silne jednostkowe i zbiorowe emocje. Przed wejściem na koncert należy okazać aktualne EKG

– A „Climbing Challenge, Real Live Tatra Mountains”?
– Cicho, proszę! Chodź, włączę ci symulator piaskownicy.
– Maaaamoo! Ale dlaczego ten „kick-boxing” i „climbing” są zakazane?
– Chyba nie uważałeś na „Błędach przeszłości i wyzwaniach przyszłości”! To zachowania ryzykowne, które wynikają z ukształtowanej w plejstocenie ludzkiej natury! Przez całą historię obniżały średnią długość życia w populacji! Jedyna akceptowalna społecznie forma takich zachowań to wirtualna rzeczywistość. Dzięki temu żyjesz i rozmawiamy.
Kowalska ociera pot. Opaska i tak odnotuje pobudzenie, ale przynajmniej Asystent milczy. Chyba się jej upiekło.
– Maaaamaa! A gdzie tata? Dlaczego jeszcze nie wrócili z Marcelem?

Dużym stresorem – czego dowiedzieliśmy się pełnym przypadkiem dzięki opaskom informującym Centralę o nagłych skokach ciśnienia i gwałtownych wahaniach aktywności fal mózgowych żałobników podczas pogrzebów – są sytuacje ostateczne. Niestety zgony wciąż się zdarzają, a psychologicznego balastu po przodkach, jakim jest żaloba czy lęk, wciąż nie udało się wyeliminować, stąd tymczasowym środkiem zaradczym jest zakaz rozmawiania o śmierci. Budząca niewielkie emocje dyskusja o samym zjawisku jest profilaktycznie karana 5 punktami, groźniejsze dla dobrostanu wspomnianie tych, którzy odeszli, to – w zależności od pobudzenia organizmu – od 20 do 50 punktów. Algorytm dba, by emocje odnotowane przez opaskę podczas emitowanego codziennie online

i w telewizji raportu o liczbie minut, o jaką danego dnia udało się przedłużyć życie myszom laboratoryjnym, nie wliczały się do puli negatywnej. Znosi się, że dzięki rozwojowi technologii uda się zrealizować utopijną, analogową refleksję pisarza epoki dziadocenu Eliasa Canettiego, który opisał „społeczność, w której ludzie nagle znikają, ale nie wiadomo, czy zmarli; nie istnieje żadna jej nazwa, a społeczność się tym zadowala”.

Wylimowanie cierpienia i chorób wymaga dbałości o zdrowie już od poczęcia. A nawet wcześniej – dziecko to mimo postępów nauki wciąż genetyczna loteria, a także olbrzymie obciążenie psychiczne na lata, o śladzie węglowym i innych formach obciążenia planety nie wspominając. Dlatego już nie wystarcza tak prymitywny pod względem biochemicznym i psychospołecznym czynnik jak mi-

łość. Żeby uzyskać zgodę na dziecko, trzeba przejść badania psychologiczne i genetyczne. Kluczowy jest m.in. układ genów MHC, które odpowiadają za układ odpornościowy.

Techniki analityczne są bliskie perfekcji, niemniej – ponieważ znaczenie ma każdy promil w redukcji ryzyka – tradycyjnych ewolucyjnych mechanizmów nie wolno odsyłać do lamusa. Stąd dla dobra dzieci i ich własnego kobietom zakazano doustnej antykoncepcji hormonalnej, która niweluje efekt wykrywania wadliwych genów MHC po zapachu.

Wychowanie dzieci odpowiedzialnie poczętych i bezpiecznie narodzonych nie można puścić na żywioł. Ci [czyli kto??] mogą zaspokoić (po uzyskaniu odpowiednich certyfikatów) potrzeby emocjonalne dziecka, natomiast za jego potrzeby bytowe i rozwojowe odpowiadają wyspecjalizowani eksperci – laktacyjni, żywieniowi oraz psycholodzy (ekonomiści zwracają uwagę na korzystny efekt uboczny tzw. głębokiego zaopiekowania – dzięki rozkwitowi profesji opiekuńczych i nadzorczych nie wystąpiło wieszczzone przez ekonomistów sprzed Osobliwości zjawisko ludzi zbędnych, wypchniętych z rynku pracy przez automatyzację).

Odkąd zakazano niehigienicznych i ryzykownych zabaw w piaskownicy, wczesnodziecięcych odruchów eksploracyjnych oraz kontaktowych gier z rówieśnikami, wyspecjalizowani asystenci i rehabilitanci odpowiadają też za rozwój psychomotoryczny dziecka. Noworodkom i niemowlakom podaje się spersonalizowaną mieszankę mlekopodobną; naturalne karmienie piersią przysługuje – po indywidualnej weryfikacji składu mleka – najbardziej zasłużonym obywatelkom.

Niektórzy psycholodzy martwią się, że tłumienie dziecięcej ciekawości świata, ograniczanie dotyku, cielesności i relacji międzyludzkich może odbić się na kreatywności przyszłych pokoleń, ale w zgodnej opinii większości naukowców nie będzie to problemem, zważywszy na błyskawiczny rozwój AI.

Kowalski miał pełną świadomość, że to słabe. Po 48 godzinach w Izolatorium powinien ucisnąć Kasię, szturchnąć ciepło Młodego, przytulić Młodszego i wspólnie usiąść do makrobiotycznej kolacji. Albo chociaż dać im znak życia. A on, obolały – sensory opasek nowej generacji sięgają niemal tkanki podskórnej – zapuszcza się coraz głębiej na przedmieście, między jakieś Zielone Zakątki, Parkova Residence i tym podobne slumsy, ponure relikty schyłkowego dziadocenu, na które nawet Dementorzy machnęli ręką.

Ale bez tego cotygodniowego rytuału dłużej by nie pociągnął.

Wie, że to dziecinne, reliktowe, nieodpowiedzialne. Ale podobnie jak setki innych kobiet i mężczyzn zgromadzonych w ekranowanym (izolację elektromagnetyczną wykonali w czynie społecznym) dawnym podziemnym garażu coś go łapie za gardło, gdy błady awatar Mistrza Agambena intonuje, jak co tydzień, kantyczkę: „W błędnym kole ograniczenie wolności narzucone przez rządy zostaje zaakceptowane w imię pragnienia bezpieczeństwa wywołanego przez te same rządy, które teraz interweniują, żeby je zaspokoić. Jak to możliwe, że wyrzekamy się wszystkiego, dla czego warto żyć?”.

Znowu będzie miał siłę, żeby to jeszcze trochę pociągnąć. Dla niej, Młodego, Młodszego. Dla nich. ●

Magdalena Babiszewska-Aksamit

Dżem. Chyba wszystkie dzieci, które znam, lubią dżem. Dużo dżemu, najchętniej na śniadanie, obiad i kolację. Staś też jest zagorzałym fanem dżemu. Jak na małego chłopca przystało, jego miłość do tej potrawy widoczna jest nie tylko na talerzu, rękach i twarzy, ale też na okolicznych meblach i podłodze. Jako rozważny rodzic bierzesz dziecko pod pachę i niesiesz do łazienki. Nie przewidziałeś jednak, że potomek, uznając to za znakomitą zabawę, po drodze łapie się utyłłanymi rączkami twojej bluzki, poręczy białego fotela i framugi drzwi. W takich sytuacjach chyba każdemu ciśnie się na usta wiązanka soczystych, niecenzuralnych słów, w tym tego zaczynającego się na „k” z wibrującym „r”.

Oczywiście przy dzieciach kląć nie wypada. Jeszcze podłapią i będą powtarzać. Który z rodziców chciałby słyszeć w usteczkach swoich cherubinków i księżniczek takie wyrazy? Większość marzy o świecie, w którym tak zwana mowa rynsztokowa nie istnieje. Ale czy to w ogóle możliwe? Czemu służą przekleństwa i przeklinanie?

KUTASY DYNDALY U JEGO PASA

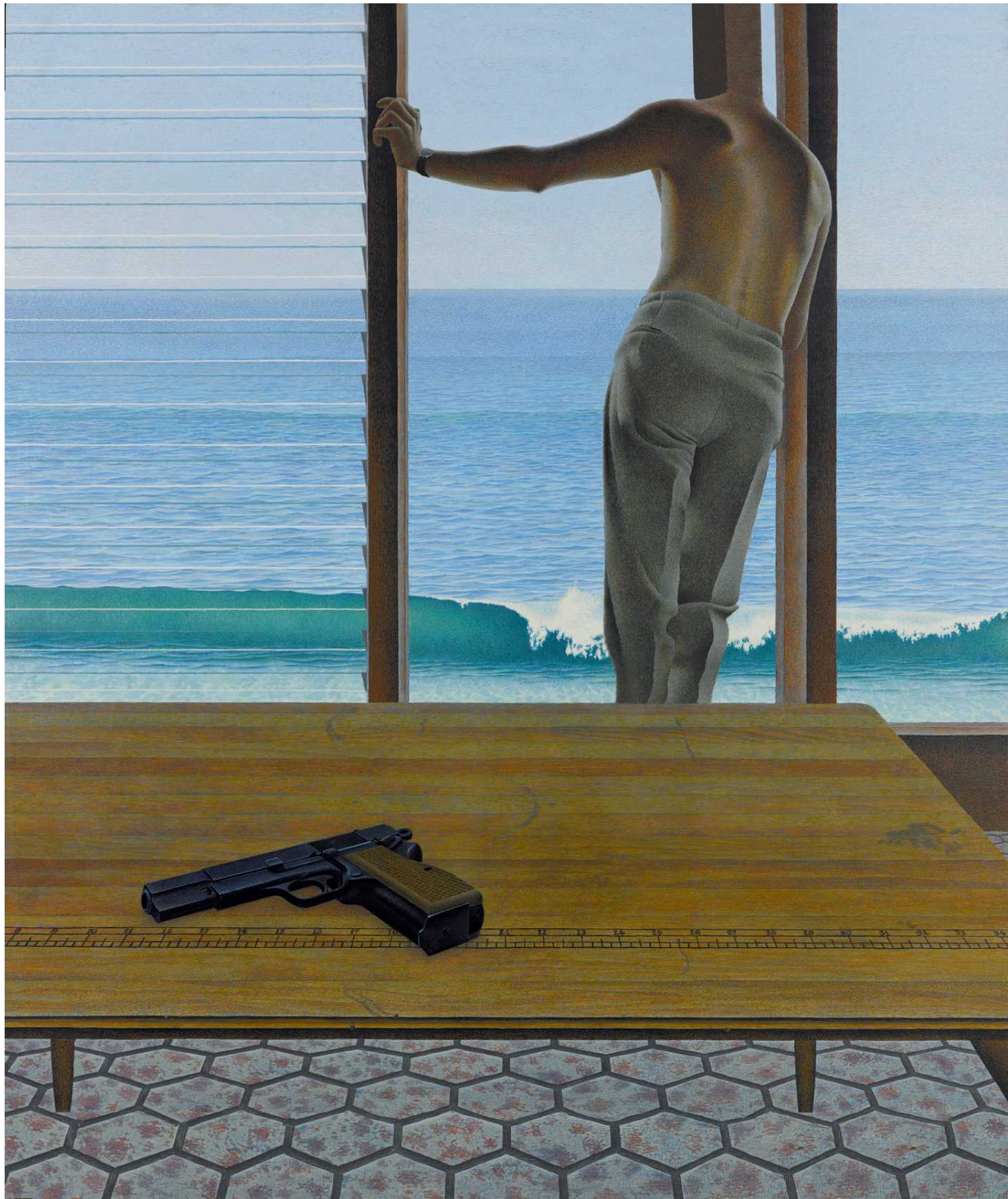
Językoznawcy za Maciejem Grochowskim definiują przeklinanie jako słowa, grupy wyrazów i zwrotów powszechnie uważanych za niewłaściwe czy obsceniczne, za pomocą których mówca ujawnia emocje względem czegoś lub kogoś przy jednoczesnym łamaniu tabu językowego. Dotykają tematów takich jak religia, zachowania seksualne i związane z tym części ciała, powszechnie uznane za wstydlive, czy czynności takie jak defekacja. „To, co zabronione, ukryte, przemilczane, budzi największe zaciekawienie i prowokuje, a odnoszenie się do tego, nazywanie czy przywoływanie choćby w aluzji staje się brawurowym łamaniem konwenansów i swego rodzaju grą o wysokim stopniu ryzyka społecznego” – zaznacza prof. Aneta Zalaźnińska z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Według badań Timothy’ego Jaya z Massachusetts College of Liberal Arts około 80 do 90 wypowiedzianych przez nas słów każdego dnia to właśnie przekleństwa.

Według Jerzego Bralczyka w języku polskim istnieje pięć podstawowych wulgaryzmów, w tym trzy rzeczowniki i dwa czasowniki. Reszta to wyrazy pochodne, ich kombinacje i związki frazeologiczne. Słowa te jednak nie zawsze miały tak negatywne konotacje jak obecnie. Na przykład według „Słownika etymologicznego języka polskiego” Wiesława Borysia niezwykle popularne słowo na „k” określające damę lekkich obyczajów pierwotnie oznaczało kurę, kokoszkę. Kutas – obraźliwe określenie nielubianego mężczyzny, który postępuje wbrew ogólnie przyjętym normom zachowania, w XVII i XVIII wieku oznaczało jedynie niewinny frędzel, rodzaj pompona ozdobnego z nici lub sznureczków, który w postaci pędzelka zwiślał na końcu sznura przypinanego do pasa, szlafnycy lub zainstalowany był przy mundurze czy habicie.

Dopiero używanie takich neutralnych słów w konkretnych kontekstach i nadanie im przez to nowego znaczenia spowodowało, że znalazły się na „czarnej liście”. Podobnie było ze starotestamentowym słowem „cham”, które w Biblii funkcjonuje jako imię, czy prasłowiańskim słowem „dupa”, które niegdyś oznaczało zagłębienie, dziurę. Praktycznie większość rzeczowników obecnie używanych mogłaby przejść podobną ewolucję, co wulgaryzmy, i stać się jednym z nich.

WULGARNY, CZYLI LUDOWY

Niegdyś słowo „wulgarny” oznaczało ni mniej, ni więcej, tylko „ludowy”, „związany z ludem”, pochodzi bowiem od łacińskiego słowa „vul-



A gdybyśmy nie przeklinali?

RZUCAM MIĘSEM, NIE BIJĘ

Przeklinanie może mieć moc uśmierzania czy łagodzenia bólu

gus”, co oznacza lud, tłum, masę ludzi. Określenie jakiegoś słowa „wulgarnym” znaczyło zatem jego źródło w ludowych sformułowaniach. Wszystko, co wulgarnym nie było, było elitarne, inaczej „dworne”, czyli używane na dworze przez wykształconych, wpływowych członków społeczeństwa. „Dworny” precyzuje szereg słów bliskoznacznych, takich jak:

wytworny, obyty, grzeczny, układny, uprzejmy, elegancki, piękny, wykształcony, doskonały. Bycie dwornym nobilitowało, dodawało prestiżu.

Natomiast język „gruby”, czyli „wulgarny”, uznawany był za pospolity, czasem nawet za prostacki, barbarzyński, nieokrzesany, niewybredny. Kto awansował społecznie,

zdobywał wykształcenie lub zaczynał obierać się w sferze osób z elity, zaczynał również posługiwać się właściwym tej uprzywilejowanej sferze językiem. Piękna polszczyzna, kwieciste zwroty i niebanalne porównania czy określenia to nie chleb powszedni przeciętnego mieszkańca ziem polskich, ale domena elit, które zostawiły swoje dziedzic-

two w postaci wytworów kultury wysokiej, w tym literatury.

Z tego punktu widzenia coraz wygodniej-sze usadowienie się przekleństw w kulturze popularnej nie jest niczym zadziwiającym. To, co rzeczywiście może szokować, to roz-goszczenie się wulgaryzmów „na salonach”. W odczuciu części społeczeństwa absolutnie nie wypada człowiekowi kulturalnemu uży-wać słów niecenzuralnych nawet w kontak-tach nieoficjalnych. Uznajemy to za dowód upadku kultury wysokiej i obniżenie pozio-mu dyskusji. Jednak, jak pokazują źródła, nie powinniśmy być aż tak krytyczni dla pozio-mu debaty publicznej, gdyż nasi dziadkowie w okresie międzywojennym nie szczędzili so-bie obelg i wyzwisk. Jak zauważa prof. Zala-zińska, chętnie używali słów nieparlamentar-nych w parlamencie właśnie.

Przy czym należy rozróżnić wykorzystanie słów wulgarnych w wypowiedziach, literatu-rze, filmach, teatrze, gdzie ich użycie ma kon-kretne znaczenie czy wydzwięk, od tej wul-garności zasłyszanej pod sklepem monopo-lowym, gdzie słowo na „k” funkcjonuje jako przerywnik. Grubiańskość tych pierwszych to wyraz wolności, zakwestionowania norm po-prawności językowej, niejakiego buntu, u tych drugich wiąże się najczęściej po prostu z ubó-stwem językowym i niewłaściwymi nawyka-mi.

Jednak przeklinanie w szerokim tego slo-wa znaczeniu to nie tylko używanie słów ob-scenicznych czy wulgarnych, ale i tych ma-jących odniesienia religijne. W szczególno-ści chodzi o użycie rzeczowników takich jak „Bóg”, „Matka Boska”, „Wszyscy święci” i tym podobnych w określonym kontekście i z od-powiednią emfazą zdradzającą irytację. Zakli-namy czy przeklinamy sprawcę niewłaściwe-go zachowania, przywołując „istoty wyższe”. Nie na darmo w kręgu kultury chrześcijań-skiej wśród Dziesięciu Przykazań na drugim miejscu umieszczono nakaz „Nie będziesz brał imienia Pana Boga swego na daremno”. Ładunek emocjonalny takich słów może być niejednokrotnie nawet silniejszy niż osławio-nego sformułowania „k...wa m...ć”.

A skoro o emocjach mowa, to przeklina-nie nie tylko wywołuje silne emocje, ale i emo-cje wyraża. Według językoznawcy Macieja Grochowskiego przekleństwa można podzie-lić na te służące kanalizowaniu emocji i te, które mają na celu obrażenie, zranienie in-nej osoby. Te pierwsze nie niosą żadnego kon-kretnego znaczenia, informują o stanie emo-cjonalnym mówiącego. I nie muszą być wul-garne – oprócz „Jezus Maria” można usłyszeć również „jasny gwint” czy „a niech to”. Te dru-gie zaś, czyli wyzwiska, służą do obrażania i ranienia innych.

PSY BISURMAŃSKIE I INNE

W kontekście historycznym przekleń-stwo jako agresja werbalna miało za zada-nie „osłabić” wroga. Przekleństwo to inaczej złorzeczenie, czyli życzenie zła, a w konse-kwencji sprowadzanie zła na drugiego czło-wieka. Nie było więc puste znaczeniowo, jak obecnie przekleństwo często definiują języ-koznawcy. Sądzono, że przekłęcie osoby nie-lubianej nie tylko ją poniży i skrzywdzi, ale i pozwoli pokonać. Przekleństwa wypowie-dziane w afekcie mogą mieć bowiem dla psychiki moc rażenia podobną do siarczy-stego policzka czy uderzenia pięścią. W od-ległej przeszłości przekleństwa to niemal magiczne zaklęcia. Przekleństwa wypowia-dano jako zaklęcia: „Niech cię szlag jasny trafi”, „Bodaj cię diabli porwali” czy „Obys̄ ju-tra nie doczekał”, ponieważ wierzono, że sło-wo ma wielką moc sprawczą.

Z kolei nazwanie kogoś „psem bisurmań-skim” było nie lada zniewagą. Wystarczy zaj-rzeć do prozy Sienkiewicza, żeby zobaczyć w całej rozciągłości koloryt i pomysłowość naszych przodków w kwestii obrażania in-nych. Po mistrzowsku robił to Onufry Zagło-ba herbu Wczele, ucieleśnienie stereotypu polskiego szlachcica.

Jak widać, jest w nas od zarania dziejów silna potrzeba tworzenia i używania „brzyd-

kich słów” czy obraźliwych sformułowań. Tylko skąd się ona bierze?

Badania z zakresu neurobiologii pokazu-ją, że przeklinanie jest silnie związane z funk-cjonowaniem układu limbicznego, w szcze-gólności ciała migdałowatego. Ciało migdało-wate (łac. corpus amygdaloideum) to struktu-ra w mózgu, która odpowiada za wyrażanie i kontrolowanie emocji. Jest aktywna pod-czas przetwarzania słów tabu, co wiąże się ze zwiększoną uwagą i lepszym zapamiętywa-niem słów tego rodzaju.

Przeklinanie może mieć działanie oczysz-czające, uwalniając nas od złości czy frustra-cji – kilka „k..a m...ć ja p....e”, i już czujemy się lepiej.

JA TU, K...A, RZĄDZĘ

Co więcej, w obliczu zagrożenia lub problemu agresywna mowa daje złudne poczucie kon-troli, a to pozwala zmniejszyć uczucie gnie-wu. Jest sygnałem, że osoba przeklinająca nie jest bierną ofiarą zdarzenia, ale ma siłę do re-agowania i walki, a to z kolei ma wpływ na poczucie sprawczości i własnej wartości. Vin-gerhoets i współpracownicy (2013) podkreśla-ją, że ten efekt katharsis może również wyja-śniać, dlaczego przeklinanie bywa niekiedy al-ternatywą dla agresji fizycznej. Co ciekawe, badania pokazują, że przeklinanie może mieć też moc uśmierzania czy łagodzenia bólu.

Richard Stephens z Uniwersytetu Keele i jego współpracownicy odkryli, że ludzie, któ-rzy więcej przeklinają, są w stanie w warun-kach eksperymentalnych trzymać ręce w lo-dowatej wodzie dłużej niż ci, którzy rzadziej używali niecenzuralnych słów.

Niektórzy naukowcy porównują przekli-nanie z irytacji lub frustracji do warczenia u zwierząt. Vingerhoets podkreśla, że komu-nikuje ono jego stan emocjonalny i negatyw-ny stosunek do intruza. A to, jeśli zniechę-ci owego intruza do ataku, pozwoli zahamo-wać agresję fizyczną i uniknąć niebezpiecznej sytuacji oraz zredukować poziom stresu wywołany spotkaniem. Innymi słowy, warcze-nie to alternatywa dla natychmiastowego ataku. Jak podczas wypowiadania przekleństw przez ludzi aktywowany jest układ limbicz-ny, tak u zwierząt struktura ta aktywna jest podczas warczenia. Możliwe zatem, że nasi czlekokształtni przodkowie używali warcze-nia zamiast agresji fizycznej w stresujących sytuacjach społecznych.

...

Często jednak poprzez wypowiadanie przekleństw i wulgaryzmów i co za tym idzie, poprzez łamanie tabu ję-zykowego chcemy nie tyle dać upust emo-cjom, co pokazać dominację i siłę. Przekli-nanie może wprowadzić bowiem słucha-jącego w zakłopotanie, naruszyć jego spo-kój i pewność siebie, a to już prosta dro-ga do tego, by czującego się nieswojo czło-wieka zmanipulować. Jak podkreśla Jacek Wasilewski z Uniwersytetu Warszawskie-go: „różne grupy, aby sygnalizować domi-nację, posługują się rozmaitymi tabu, wła-ściwymi ich systemom wartości, tworząc symboliczne argumenty siłowe”. Przekleń-stwa w tym kontekście postrzegane są jako narzędzia przemocy werbalnej. Sygnalizu-ją, że posługująca się nimi osoba jest na ty-le silna i pewna siebie, że nie musi się liczyć z regułami panującymi w danej grupie, je-mu/ jej bowiem wszystko wolno.

Walka o dominację to jedna z najbar-dziej pierwotnych motywacji działania u naczelnych żyjących w dużych grupach. U naszych najbliższych krewnych – szym-pansów – obserwować można finezyjne po-kazy siły z szamotaniem gałęziami, wydo-bywaniem przeraźliwych dźwięków (tzw. Pant-hoot), stawianiem na tylnych kończy-nach. Takie sygnały ukazujące siłę, duże ga-baryty i witalność jasno dają znać pozosta-łym, że nie warto zadzierać z tym osobni-kiem, bo konfrontacja mogłaby się skoń-czyć marnie.

A bycie dominantem w grupie ma wie-le korzyści. Nie tylko zapewnia dostęp do pożywienia w pierwszej kolejności, ale i do

przedstawielek płci przeciwnej. A to dla zapewnienia ciągłości genów w postaci licznego potomstwa jest gra warta świeczki w kontekście ewolucyjnym. Liczne badania pokazują, że to właśnie mężczyźni używają przekleństw znacznie częściej niż kobiety.

CO U CIEBIE SŁYCHAĆ, STARY DURNIU?

Istnieją jednak sytuacje, w których użycie słów powszechnie uznawanych za obraźliwe służy... zacieśnieniu więzi. Mężczyzna zwrac-ający się do przyjaciela po meczu „Następ-nym razem skopię ci tylek mordeczko” nie zostanie zrozumiany dosłownie, a określe-nie „mordeczka” będzie odebrane raczej ja-ko pieszczotliwe. Zatem obelgi użyte w roz-mowie osób o dużym stopniu zażyłości bę-dą pełniły funkcję potwierdzenia i podtrzy-mania bliskiej relacji. Użycie tych samych sformułowań w rozmowie z osobą niezna-ną mogłoby przynieść katastrofalne skutki. Do szefa raczej nie zwracamy się per „mor-deczka”, ale do dobrego kolegi z pracy – cze-mu nie.



*„Kurwa” oznaczało kokoszkę,
„kutas” - ozdobny pompon,
„dupa” – zagłębienie lub
dziurę. Większość obecnie
używanych rzeczowników
może przejść podobną
ewolucję i stać się
wulgaryzmem*

Przeklinanie jako wentyl ma niebagatel-ne znaczenie dla zgodnego funkcjonowania w grupie. Gdy nasi przodkowie przeszli na osiadły tryb życia i zaczęli tworzyć duże sku-piska ludzkie na małej przestrzeni, zaczę-ły pojawiać się silne napięcia emocjonalne. Stres wynikający z przepełnienia niszy eko-logicznej u zwierząt nieraz prowadzi do roz-lewu krwi. Gdyby nie można było używać niecenzuralnych słów, za każdym razem w sytuacji konfliktowej lub dużej irytacji sta-walibyśmy do walki. Dzięki wykorzysta-niu języka do rozładowania napięcia w kon-fliktach nasi przodkowie prawdopodobnie w ogóle byli w stanie funkcjonować w du-żych skupiskach, tworzyć miasta, miastecz-ka i, w konsekwencji, wielkie aglomeracje.

Co jednak zrobić, jeśli okoliczności nie pozwalały na użycie siarczystej wiązaneki rozpoczynającej się na „k”? Otóż istnieją na to sposoby. Jak radzi jedna z blogerek, autor-ka Konfabula.pl, ućście naszej frustracji mo-żemy dać, wykorzystując słowa i sformuło-wania niewinne, czyli zamienniki brzmia-ce do złudzenia podobnie jak ich wulgar-ne pierwowzory, jednak nie niosące ich cięż-aru językowego. I tak autorka wyróżnia za-mienniki botaniczne („urwał nać” czy „pa-prykujesz”), zoologiczne („kurczę blade”), fi-lozoficzne („ja cię nie mogę”, „ja cię kręcę”, „jedwabście”), budowlane („jasny gwint”, „kurczę blaszka”, „ale urwał”), Hammura-biego („kij ci w oko” czy „kij ci w szprychy”) i meteorologiczne („do stu piorunów”). Wie-le z tych określeń znali i z lubością używa-li nasi dziadkowie, ale kto nam zabroni wra-cać do korzeni?

TY CIAPATA ZMARSZCZKO

Językoznawcy zauważają, że coraz częściej w wypowiedziach rezygnujemy z form opi-sowych i zamiast nich używamy form la-konicznych, jednowyrazowych stwierdzeń oceniających. Dotyczy to również prze-kleństw. W imię zasady – „jedno słowo załati wszystko”. Może być to pokłosie częstego

korzystania z SMS-ów czy komunikatorów internetowych, gdzie z założenia formułuje-my krótkie, treściwe wypowiedzi? Czy wynik pędu naszego życia i szybkości, z jaką krążą informacje? Trudno stwierdzić. Według ję-zykoznawców raczej nie powstaną nowe sło-wa, lecz te, które już dobrze znamy, nabiorą całkiem nowego, wulgarnego znaczenia.

No właśnie, a które słowa najprawdopo-dobniej przejdą taką transformację? Gdzie znaleźć trop?

Kandydatów należy szukać naturalnie w kręgu tematów tabu, czyli tych związa-nych z religią, zachowaniami seksualnymi, ludzkim ciałem czy czynnościami takimi jak defekacja. Jednak tabu też się zmienia i ewo-luuje. I tak kult młodości, czyli sprawnego, szczupłego i młodego ciała obecny w spo-leczeństwach cywilizacji zachodniej niechyb-nie spycha starość w sfery niepożądane. Nikt nie chce widzieć siebie w przyszości jako osoby chorej i zniedołężniałej, dlatego o cze-kającej nas starości mówić nie chcemy. Sło-wa takie jak „zmarszczki” czy „obwisły” już zaczynają być coraz bardziej nacechowa-ne negatywnie.

Nowe tabu pojawiają się też w kontekście poprawności politycznej. „Murzynek Babmo w Afryce mieszka, czarną ma skórę ten nasz koleżka”. Tuwim, pisząc ten niewinny wier-szyk dla dzieci, nie chciał urazić Afroamery-kanów, mieszkających kontynentu afrykań-skiego czy innych osób, które, tak się złoży-ło, mają ciemny odcień skóry, prędzej poka-zać białym polskim dzieciom, że „oni” są ta-cy jak „my”. Określenie „murzyn” czy „cia-paty”, kiedyś raczej neutralne, dzisiaj nie jest już emocjonalnie obojętne, a w wielu krę-gach wręcz obraźliwe.

Tabu religijne też ma się dobrze, a w obecnej sytuacji będzie miało się jeszcze lepiej. Do tematów unikanych czy tabuizo-wanych prawdopodobnie dołączą na dobre te związane z chorobami umysłowymi i cy-wilizacyjnymi, coraz bardziej rozpowszech-nionymi operacjami plastycznymi, wysoko-ścią zarobków i niektórymi zawodami czy uchodźctwem. Zatem może neutralne sfor-mulowania dotyczące nowych-starych ta-bu pojawiające się w konkretnym, nowym kontekście w literaturze, filmach, na YouTu-be czy w szeroko pojętych mediach społecz-nościach będziemy powtarzać w podob-nych sytuacjach w realu, aż przejmą funk-cję przekleństw? Będą szokować, pozwa-lać ująć gniewowi czy frustracji lub po pro-stu stanowić nowy kod kulturowy. Albo bę-dziemy czerpać garściami z określeń używa-nych przez naszych dziadów i pradziadów. Z jednej strony lakonicznie, a z drugiej kwie-ściście? Kto wie...

...

Naukowcy twierdzą, że przekleń-stwa, wulgaryzmy, słowa obsc-e-niczne, niewłaściwe czy po prostu brzydkie towarzyszą ludzkości od zara-nia dziejów. Niektórzy badacze pokusili się nawet o stwierdzenie, że jest to funda-mentalna i wszechobecna cecha komuni-kacji międzyludzkiej. Jeśli nie „k...a”, czy-li „kura” i „kutas”, czyli „frędzel”, to inne słowa przejęłyby brzemień wulgaryzmów i zagościły w naszym języku jako nie-cenzuralne. Zatem nie brońmy się przez przeklinaniem. Używajmy „brzydkich” czy niewłaściwych słów z umiarem i czę-ściej może w myślach niż na głos.

Redaktor właśnie poprosił mnie o ko-lejny dopisek. Wciórności! ●

Dr Magdalena Babiszewska-Aksamit

● – biolożka ewolucyjna i antropolożka fi-zyczna, członkini European Anthropological Association i zespołu popularyzatorskiego Rzecznicy Nauki, autorka bloga o psychologii ewolucyjnej „Z betonowej dżungli”.

A co, jeśli automaty nabiorą rozumu

LUDZIE NIE SĄ ZBĘDNI

Będzie robota. Przy robotach

Mateusz Witczak

Nie byłoby współczesnej robotyki, gdyby nie Martin Heidegger – wyjaśnia prof. Aleksandra Przegalińska, filozofka i futurolożka z Akademii Leona Koźmińskiego. Oczywiście niemiecki filozof nie przewidział rozwoju sztucznej inteligencji i automatyzacji, jednak właśnie do jego „Bycia i czasu” odwoływał się Hubert Dreyfus, inspirując z kolei Rodneya Brooksa, ojca założyciela robotyki.

Współczesne maszyny nie dumają jednak nad egzystencją autentyczną i nieautentyczną, ale nad (z pozoru) mniej ważkimi problemami. Co zrobić, gdy drogę zablokuje kaczka?

– Pewnego razu testowaliśmy nasz autonomiczny samochód na ulicach San Francisco – opowiadał w 2015 r. Astro Teller, szef jednostki Google X. – To było jakieś wzgórze, gdy zza niego wyjechaliśmy, zobaczyliśmy kobietę na wózku inwalidzkim, która na środku drogi miotła przeganiała kaczkę. Samochód był w takim szoku, że aż przystanął.

W Google’u powstał cały zespół, którego jedynym celem było przeszkadzanie samochodzikom – wyskakiwanie im znienacka przed maską, rzucanie w nie piłkami, zabawy z dziećmi w polu widzenia maszyny. Ale nawet te wysiłki nie mogły w pełni przygotować auta Google’a na to, co może napotkać na drogach.

CZY ROBOT MUSI MYŚLEĆ?

Podczas bitwy o Exegol w finale „Gwiezdnych Wojen: Powstania Skywalkera” ruch oporu ściera się z siłami Najwyższego Porządku. Chcąc zaskoczyć przeciwnika, rebeliancka piechota desantuje się na powierzchnię wrogiego okrętu dowodzenia. Szturmowcy rozpoczynają ostrzał, x-wingi ścierają się z tie fighterami, w tle błyskają wyładowania elektryczne i huczą granaty... Mimo to niepozorny droid BB-8 spokojnie wymija zawieruchę, by zhakować właz i umożliwić bohaterom wrzucenie do wnętrza statku ładunków wybuchowych.

Być może dawno, dawno temu w odległej galaktyce byłoby to możliwe, ale na Ziemi: jeszcze nie; nasze roboty wciąż miewają bowiem problemy z dostosowywaniem się do zmiennych warunków. Właśnie dlatego w 2015 Google zastrzegł patent dotyczący „wykrywania przez autonomiczny wehikuł zatoru”, a zatem np. stada krów, owiec lub gęsi, które niespodziewanie pojawiają się na jezdni. Montowane na dachu czujniki miałyby nie tylko oceniać rangę problemu, ale też obliczać



ROADWORK 1969 AKRYL NA PŁYTCIE PILŚNIOWEJ © A.C.FINE ART INC.

długość planowanego postoju (jeśli ten potrwałby zbyt długo – samochód mógłby zdecydować się na objazd).

– Nie ma problemu, gdy roboty działają w ściśle określonych, przewidywalnych kontekstach – wyjaśnia dr hab. Piotr Miłoś z PAN. – Jednak nawet odkurzająca nasze dywany roomba operuje przecież w zmieniającym się środowisku. Musi więc – dopowiada badacz – korzystać

ze sztucznej inteligencji, która pomoże jej „zrozumieć” niestałe realia.

Po sieci krąży zresztą nagranie, na którym zmechanizowani uczestnicy DARPA Robotics Challenge 2015 nie dają sobie rady z otwarciem drzwi, efektywnie się wywracając. – Chwywanie obiektów to wbrew pozorom duży dział robotyki. Czym innym jest przenoszenie obiektów w znanym środowisku, czym innym:

sytuacja, gdy na hali panuje bałagan lub gdy maszyna natrafia na klamkę o nieregularnym kształcie. Musi wówczas zrozumieć „scenę”, w której operuje, i obiekty, z jakimi wchodzi w interakcje – wyjaśnia Miłoś.

Z każdym rokiem radzi sobie ze swoimi zadaniami coraz lepiej, ale do niedawna kłopot mogło jej sprawić nawet... przykręcenie śrubki, o czym Jędrzej Kowal-

czyk, prezes Fanuc Polska, mówił w rozmowie z Vadimem Makarenką. Dziennikarz wspomniął wizytę na linii montażowej, przy której wyposażone w czujniki siły i momentu roboty podawały koła i przymocowywały je, jednak to człowiek musiał kluczem dokręcać śruby. „Zależy, kiedy była zrealizowana aplikacja” – ripostował Kowalczyk, dodając, że do niedawna taka technologia nie była ani łatwo dostępna, ani opłacalna.

Dwa lata później Kowalczyk twierdzi, że kłopoty ze śrubami to pieśń przeszłości. – W ciągu kilku lat roboty zyskały dodatkową moc obliczeniową, a ich sensory – lub „zmysły”, jak je potocznie nazywamy – stały się bardziej wrażliwe. Ludzkie ingerencje nadal są niezbędne, ale nie ze względów technicznych, lecz nadzorczych. Rządziej musimy zajmować się tzw. szpitalem, a więc weryfikować na końcu produkcji, czy zadanie zostało prawidłowo wykonane.

– Dziś angażuje nas nie tyle sama konstrukcja robota, ile współpraca robotów.

mą, która wpłynęłaby na bezpieczeństwo człowieka.

CZY TAŃCZĄCE MASZYNY ZNISZCZĄ LUDZKOŚĆ

W sierpniu tego roku Boston Dynamics pochwaliło się filmem, na którym humanoidalne Atlasy pokonują tor przeszkód. I to w sposób, jakiego nie powstydzilby się profesjonalny parkourowiec: biegają, przeskakują przez przeszkody, a nawet wykonują salta w tył i odbijają się od rozstawionych na hali platform. Bodaj największą furorę Atlas zrobił jednak miesiąc wcześniej, żwawo tańcząc w takt klasycznego „Do You Love Me?” The Contours. Jak tłumaczył Eric Whitman na blogu firmy: „Wszystko musiało zostać uprzednio opracowane i dokładne rozpisanie. Roboty lepiej niż ludzie radzą sobie z powtarzalnością (...) ale i tak trzeba im wcześniej wytłumaczyć każdy najdrobniejszy szczegół. W ogóle nie improwizują”.

szłość. Według naukowczynie maszyny Boston Dynamics stoją w rozkroku: potrafią przystosować się do świata zewnętrznego i domniemywać, jak należałoby się zachować, natrafiwszy na przeszkodę.

A choć daleko im do autonomii rodem z „Terminatora”, patrząc na komentarze pod ich pląsami – a tych nie brakuje, materiał obejrzano 35 mln razy – dominują wątpliwości („światne CGI”) i obawy („MAMY PRZECHLAPANE!!!!”). Zdaniem Przegalińskiej wynika to z ewolucyjnego lęku. – Niewątpliwie, jeśli coś bardzo mocno zaczyna przypominać człowieka: mówić jak my, woździć oczyma albo wykonywać ludzkie ruchy, uaktywnia się w nas strach. Dotyczy to zarówno tańczących robotów Boston Dynamics, jak i np. robotów, które mają ludzkie twarze i imitują naszą ekspresję. Ma to zresztą swoją nazwę: dolina niesamowitości.

ROBOPIES KONTRA DEMOKRATKA

Być może film z otwierającym drzwi i drepającym po schodach Spotem (również od Boston Dynamics) nie zyskał podobnie wiralowego statusu, jednak mechaniczny pies stał się bohaterem nagrania, które narobiło mu wrogów w Kongresie.

Z racji zdolności do poruszania się po trudnym terenie Spot znalazł zajęcie u saperów z Massachusetts (którym służył podczas rekonesansów). Mniej szczęścia miał w Nowym Jorku, gdzie policja była zmuszona anulować wart 94 tys. dolarów kontrakt z Boston Dynamics. Przedstawiony opinii publicznej raptem cztery miesiące wcześniej Digidog miał pomóc funkcjonariuszom w identyfikowaniu zagrożeń w niebezpiecznych miejscach (np. grożących zawałeniem). W lutym opinię publiczną zelektryzowało nagranie, na którym czworonóg patrolował Bronx. Alexandria Ocasio-Cortez, popularna kongresmenka z młodego lewego skrzydła Demokratów, nazwała go „naziemnym dronem inwigilacyjnym” i zasugerowała, by publiczne pieniądze przekierować na poradnie w szkołach.

Obyło się jednak bez protestów, gdy policja w Honolulu wyłożyła 150 tys. dolarów na spoty, które w pandemii docierały do osób w kryzysie bezdomności. „Nazienne drony inwigilacyjne” świetnie radziły sobie ze sprawdzaniem, czy aby nocujący na ulicach ludzie nie mają gorączki, i kierowaniem potencjalnie zakażonych do schronisk, gdzie mogli wykonać testy lub odbyć kwarantannę. COVID-19 co rusz przypominał nam o zgola podstawowej przewadze maszyn nad *Homo sapiens*. Roboty nie chorują.

DRON ROZPYŁA SPIRYTUS

Zanim jeszcze SARS-CoV-2 znalazł się na szpaltach mediów na całym świecie, badacze Statistics Market Research Consulting szacowali, że rynek zbytu dla humanoidalnych robotów osiągnie do 2026 r. wartość 13 mld dolarów. Wiele wskazuje, że to szacunki nazbyt skromne. – Koronawirus sprowokował akcelerację technologiczną, zwłaszcza w pierwszej fali pojawiła się wielka mobilizacja, by wszystko uzdalić, zdigitalizować, zremote’ować i robotyzować – ocenia Przegalińska. Szczególnie szybko musiały dostosować się edukacja i rzecz jasna ochrona zdrowia.

W forpoczcie stanęły Chiny. Wuhan, gdzie rozpoczęła się pandemia, w marcu zeszłego roku ogłosił otwarcie szpitala polowego Smart Field Hospital, jaki przyjął do pracy ufundowane przez CloudMinds humanoidalne maszyny. Znalazły szerokie zastosowanie: mierzyły temperaturę, podawały leki i posiłki, a nawet zabawiały pacjentów tańcem (w tym czasie autonomiczne drony wzięły na siebie rozpylanie środka dezynfekującego i mycie podłóg). Nie są to operacje trudne, sztuczną inteligencję trzeba było jedynie uwrażliwić na sympto-

my koronawirusa, by w porę mogła ostrzec medyków. Pacjentom założono natomiast inteligentne bransoletki i pierścienie, które mierzyły ich parametry życiowe (tętno, poziom tlenu we krwi, temperaturę), dzięki czemu lekarze i pielęgniarki spoza placówki zdalnie monitorowali przebieg choroby. Maszyny nie tylko przeciwdziałały w ten sposób kolejnym zakażeniom, ale odciążały białą personel. W przeciwieństwie do ludzi roboty się nie męczą.

– To podstawowy walor maszyny – mówi Przegalińska – Owszem, potrzebuje zasilania i baterii, jednak wszędzie tam, gdzie może dojść do uszczerbku na zdrowiu: problemów z kręgosłupem, zwyrodnień stawów – robot sprawdzi się lepiej. Musimy – konstatuje badaczka – przyzwyczaić się do myśli, że są zawody, które nie nadają się dla człowieka. I przekazać paleczkę (czy ciężką paczkę) maszynie.

AMAZON ZATRUDNIA. NIE TYLKO ROBOTY

Nie dziwi, że robotyką intensywnie interesuje się Amazon, od lat zmagający się z – niebezpiecznymi – oskarżeniami o przymuszanie pracowników do pracy ponad siły (niektórzy uskarżali się, że by wyrobić normę, muszą oddawać moc do butelek i chodzić w pieluchach). Media wielokrotnie informowały też, że zatrudnieni w magazynach pakowacze są narażeni na wypadki (m.in. w reportażu „The Guardian” o znamiennym tytule: „Nie jestem robotem”).

W maju spółka Jeffa Bezosa ogłosiła ambitny cel zmniejszenia liczby odnotowywanych incydentów o 50 proc. (i to do 2023!). Tylko w tym roku gigant planuje przeznaczyć 300 mln dolarów na projekty związane z zapewnieniem bezpieczeństwa. Część kwoty pójdzie na wprowadzenie na hale Erniego, Berta i Kermita, nazwanych na cześć postaci z „Muppetów” mechanicznych pomagierów. Ernie zajmie się ściąganiem towarów z wysokich półek. Z kolei Bert, pierwszy w firmie autonomiczny, mobilny robot (AMR), potrafi poruszać się po magazynie nawet wówczas, gdy szybko przemieszczają się po nim żywi ludzie (w dodatku może się pochwalić zdecydowanie większym udźwigiem od biologicznych kolegów). Natomiast wózek Kermit przeniesie puste pojemniki z powrotem do punktu startowego (podąży w tym celu za taśmą magnetyczną. Znaczniki na drodze powiedzą mu, czy powinien przyspieszyć, spowolnić, czy też zmodyfikować kurs).

Ich działalność to dowód, że małżeństwo AI i robotyki może okazać się zgodne. – Każda z tych maszyn musiała się nauczyć: którą paczkę podać? Jak poruszać się po magazynie? Jednak sam robot jest tylko narzędziem. To młotek, natomiast najtrudniejsze jest określenie, który gwóźdź pobrać, gdzie go wbić i w jaki sposób – obrazuje Kowalczyk. – A właśnie za to odpowiada sztuczna inteligencja; systemy nadzorcze, które koordynują pracę maszyn, podpowiadając im, co te mają robić.

To AI pozwala robotowi „widzieć” świat wokół. Weźmy pracującego przy taśmie Robina. O ile człowiek na jego miejscu zobaczyłby paczki, wielkie pudła i koperty, mechaniczne ramię przez długi czas dostrzegało jedynie plamę pikseli. Specjaliści od AI spędzili wiele lat, by maszyna mogła rozbić tę plamę na składowe: rozpoznać kolor, fakturę czy istotne cechy (vide krawędź koperty). Przełom stanowiło wykorzystanie sieci neuronowych. Elektroniczny mózg Robina nakarmiono setkami tysięcy paczek, dzięki czemu robot nauczył się niemal bezbłędnie rozpoznawania przesylek – nawet jeśli te są zasłonięte lub znajdują się w nietypowych pozycjach.

Amazon podkreśla, że od chwili, gdy zaczął korzystać z robotów (przejął w tym celu bostońską spółkę Kiva Systems, którą przemianował na Amazon Robotics), wprowadził co prawda 350 tys. jeżdżących po halach maszyn, ale równolegle wy-



Chcemy, by swobodnie przesyłały dane między sobą, same uczyły się i wyciągały wnioski – dążyły do bycia autonomicznymi. To się już dzieje, natomiast relatywnie rzadko – wyjawia ekspert. Co prawda krowa jest dziś robotowi niestraszna, nadal jednak może on zatrzymać się, gdy na szali stanie ludzkie życie. – Odchylenie od procesów może się zdarzyć, maszyna przerwie pracę, jeśli dostrzeże niewiado-

– Robotyka, a przynajmniej pewna jej część, to w jakimś stopniu „ucieleśniona” sztuczna inteligencja – zauważa Przegalińska. – Większość robotów operuje na systemach opartych na automatyce: są uczone wykonywania procedur, również algorytmicznych, ale zawsze tak samo. By jednak mówić o „prawdziwym” AI, system musi uczyć się adaptować do zmian: zbierać dane i przewidywać na ich podstawie przy-

➤ generował milion dodatkowych miejsc pracy (choćaby w IT oraz przy serwisowaniu i obsłudze maszyn).

To bardzo przytomna deklaracja, bo skoro roboty nie pocą się, nie odnoszą obrażeń, a w dodatku coraz lepiej radzą sobie z manewrowaniem po dynamicznie zmieniającej się przestrzeni, musimy postawić sobie pytanie: czy aby nasze posady nie są zagrożone?

ŁUDZIE NIEZBĘDNI

W 2016 temat „ludzi zbędnych” – jak określano osoby wykonujące zagrożone zawody – na poważnie podjęli goście Forum Ekonomicznego w Davos. Prognozując efekty czwartej rewolucji przemysłowej, założyciel forum Klaus Schwab twierdził, że nadchodząca dekada przyniesie więcej zmian technologicznych niż ostatnie półwiecze („zbliza się ona jak tsunami”). Według raportu WEF w najbardziej rozwiniętych gospodarkach świata zagrożonych miało być nawet 7 mln miejsc pracy. I to tylko w ciągu pięciu lat!

Pięć lat minęło jednak jak jeden dzień i... trudno mówić o exodusie. A prognozy Schwaba zastąpiła narracja o tzw. kobotyce (collaborative robotics). Badacze – w tym zespół prof. Przeglasińskiej – tworzą fizyczne roboty lub elektroniczne boty, które nie mają zastępować ludzi, ale współpracować z nimi. – Z naszych badań wynika, że zapewnią to duży wzrost efektywności. Jeżeli marketer lub marketerka skorzysta z pomocy bota, ich praca staje się bardziej satysfakcjonująca, bo mogą skupić się na tym, co najważniejsze: strategii, kreatywności, selekcji informacji i koordynacji. Rutynę weźmie na siebie software. Owszem, rozwój AI i robotyki sprawi, że w wielu sektorach stracimy miejsca pracy. Ale jednocześnie stworzymy bardzo wiele nowych.

Mechaniczni pracownicy to zarazem szansa na zasklepienie luki w profesjach, które pomalą odchodzą do lamusa. Przykładowo – tłumaczy Przeglasińska: – We Włoszech roboty są wykorzystywane do asystowania osobom starszym, które mają trudności z poruszaniem się. To dobra droga, zwłaszcza że w przyszłości będziemy potrzebowali coraz więcej opieki nad tzw. silver generation, bo przecież społeczeństwo się starzeje, a na emeryturze żyjemy coraz dłużej. Tymczasem młodzież niespecjalnie się do takich zawodów garnie.

– W ubiegłym roku think tank Parlamentu Europejskiego oszacował, że do 2035 r. wzrost wydajności pracy związany z postępami na polach sztucznej inteligencji i robotyki wyniesie od 11 do 37 proc. – przypomina Kowalczyk. – Kluczem jest połączenie potencjału maszyn: ich stabilności i niezawodności oraz ludzkiej kreatywności. Roboty mogą ciężko pracować, ale wciąż potrzebujemy ludzi, którzy potrafią tę technologię wykorzystać, wdrożyć i wyjść naprzeciw zmianom.

– Odejdźcie od procesów manualnych na rzecz automatyzacji na stanowiskach produkcyjnych skutkuje wzrostem produktywności i znacznym obniżeniem kosztów. W globalnej produkcji przemysłowej upowszechnia się trend wdrażania mechanicznych pracowników wszędzie tam, gdzie są wymagane wysoka wydajność, jakość i powtarzalność. W największym stopniu dotyczy to procesów realizowanych w trudnych lub niebezpiecznych warunkach środowiskowych stanowiących zagrożenie dla ludzi. Nie chodzi tu wyłącznie o siłę, ale głównie o liczbę procesów czy unikanie błędów – uzupełnia.

PIERWSZY ZABITY CZŁOWIEK

Jednak to właśnie siła maszyn niepokoi, szczególnie gdy weźmiemy na tapet ich militarny potencjał. Niektóre technologie mające wspomagać wojskowych nie budzą oporu, trudno znaleźć głosy wzywają-

ce do bojkotu AlphaDoga od Boston Dynamics, czyli „robotycznego muła”, jaki mógłby służyć do transportu ciężkiego wyposażenia. Inna rzecz, że ostatecznie amerykańska Agencja Zaawansowanych Projektów Badawczych w Obszarze Obronności (DARPA) uznała, że konstrukcja jest zwyczajnie za głośna, by sprawdzić się podczas misji (w dodatku nie wiadomo, kto miałby ją wówczas serwisować). Emocje rozgrzewają natomiast autonomiczne maszyny wojenne.

W marcu zeszłego roku etyków poruszył raport ONZ, który sugerował, że robot mógłby zabić pierwszego człowieka. Wojska wspieranego przez USA tymczasowego rządu libijskiego starły się wówczas z siłami generała Khalifa Haftara. Gdy przeciwnik zaczął się wycofywać, w pościg ruszyły produkowane w Turcji drony Kargu-2. Zazwyczaj kontroluje je człowiek, ale dzięki uczeniu maszynowemu są też w stanie działać bez jego udziału (lub, jak ujmuje raport, „bez konieczności przesyłania danych między operatorem a amunicją”). I właśnie takie, puszczane „samopas” Kargu-2 wysłano w pogoń za niedobitkami.

O powstrzymanie się od produkcji śmiertelnej, autonomicznej broni od lat zabiegają aktywiści Campaign to Stop Killer Robots (według przeprowadzonych przez nich badań aż 62 proc. ankietowanych sprzeciwia się takim rozwiązaniom). W 2018 list otwarty domagający się jej zakazania podpisali m.in. Elon Musk, współtwórca Apple’a Steve Wozniak czy słynny lingwista i antropolog Noam Chomsky, a także ponad tysiąc mniej medialnych ekspertów od AI i robotyki. Jego sygnatariuszką była też Przeglasińska. – Nie możemy delegować na maszynę decyzji o tym, co ma się zdarzyć na polu bitwy, akurat w tej dziedzinie autonomizacja nie jest pożądana. Nie mam jednak złudzeń, armia pracuje nad takimi rozwiązaniami.

– Zaawansowane roboty bojowe potrafiłyby chwycić za karabin i perfekcyjnie strzelać do celu. Ale choćby komandos zaczął je przepychać, kopać i uderzać, i tak nie otworzą ognia. To jednak kwestia algorytmu, granica jest więc bardzo, bardzo cienka. Wystarczy, że programista wprowadziłby w miejsce zera jedynkę – dopowiada Kowalczyk.

PRZYJACIÓŁKA OUTUJE LIL MIQUEŁĘ

Przewaga maszyn nad *Homo sapiens* zwiększa się, gdy rozszerzymy definicję tych drugich. Boty (autonomiczne programy) i ksenoboty (programowalne roboty stworzone z komórek macierzystych) przewyższają bowiem mechanicznych kolegów na przynajmniej kilku frontach.

Te pierwsze zaczynają dziś zawiadywać masową wyobraźnią. – Już teraz cyfrowe roboty inscenizują kłótnie i meblują imaginarium młodego pokolenia – wyjaśnia Ada Florentyna Pawlak, która prowadzi na Uniwersytecie Warszawskim zajęcia „Technoantropologia intymności. Miłość, seks i roboty”, na jakich omawia ze studentami społeczne implikacje sztucznej inteligencji. Jako przykład podaje Lil Miquelę, cyfrową influencerkę, której konto na Instagramie obsługuje już 3,1 mln ludzi.

– W pewnym momencie „pokłóciła się” ona ze swoją przyjaciółką, która zrobiła jej na InstaStory coming out, ujawniając, że Lil Miquela jest robotem. Dziesiątki tysięcy nastolatków zaofiarowały wówczas celebrytce emocjonalne wsparcie – opowiada badaczka. – Wchodzimy w okres kapitalizmu afektywnego, w którym cyfrowe roboty zarabiają nie na wykonywaniu czynności w świecie rzeczywistym, ale na kręceniu imb i dram. I to zarabiają niemało: w zeszłym roku Lil Miquela „podpisała” wart 10 mln dolarów kontrakt z agencją kreatywną CAA, ma też na koncie współpracę z markami, takimi jak Gucci, Prada czy Calvin Klein, oraz youtube’owe teledyski z milionami wyświetleń.

Przewaga ksenobotów powstałych z komórek macierzystych żab, nad *Homo sapiens* i mechanicznymi robotami jest oczywista: mają zdolność samoregeneracji. Taki zraniony bot potrafi wyleczyć ranę. W jakimś stopniu realizuje marzenie Raymonda Kurzweila o nanobotach, których roje miałyby podróżować po naszym organizmie i naprawiać jego usterki

Furorę robią w sieci również Shudu, pierwsza cyfrowa supermodelka, oraz skandalista Bławko. Każde z nich ma właściwie nieskończenie wiele czasu na budowanie własnej marki, bo – w przeciwieństwie do Kanye Westa czy Britney Spears – nie muszą się starzeć.

Potencjalnie doniosłe konsekwencje może mieć rozwój ksenobotyki, robotów powstałych z komórek macierzystych żab. Ich przewaga nad *Homo sapiens* jest oczywista: mają bowiem zdolność samoregeneracji. – Taki zraniony bot potrafi wyleczyć ranę, powracając do swojego pierwotnego kształtu. W jakimś stopniu realizuje on transhumanistyczne marzenie Raymonda Kurzweila o nanobotach, których roje miałyby podróżować po naszym organizmie i naprawiać jego usterki – ocenia Florentyna Pawlak. A choć ich największym sukcesem jest na razie oczyszczenie szalki Petriego w laboratoriach Tufts University, w przyszłości mogą być wykorzystywane do usuwania zanieczyszczeń z gleby i oceanów.

SAM SIĘ NIE NAPRAWI. NA RAZIE

„Do pozytywnych skutków pandemii należy zaliczyć rosnące zainteresowanie robotyką i automatyzacją. Sektory i organizacje przemysłowe, które niechętnie inwestowały w tę technologię, dziś wykazują zainteresowanie” – pisał pod koniec ubiegłego roku Milton Guerri, przewodniczący Międzynarodowej Federacji Robotyki (IFR). Według organizacji w postcovidowym świecie nastąpi znaczne przyspieszenie tempa robotyzacji i automatyzacji.

Na razie roboty z powodzeniem radzą sobie z nalewaniem piwa lub przygotowaniem sushi, są w stanie ułożyć towar na palety albo złożyć samochód. Już teraz są od nas silniejsze, lepiej sprawdzają się w trudnych warunkach czy przy zadaniach wymagającej rutyny – ale bez człowieka nie mogą ani się naprawić, ani nauczyć nowych zdolności.

Przynajmniej na razie. Musimy być gotowi na rozwój robotyki i sztucznej inteligencji – napomina Przeglasińska. – Co praw-

da Komisja Europejska ma propozycję aktu legislacyjnego, tzw. AI Act, który miałby ograniczać stosowanie sztucznej inteligencji i robotyki w pewnych obszarach, ale raz i mnie totalna ignorancja polskich polityków. Tymczasem o temat, który nie będzie „zaraz” istotny. On już jest istotny. ●



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Autorem ilustracji wykorzystanych w tym numerze jest

Alex Colville

• (1920–2013), kanadyjski malarz, grafik i rysownik.

Tworzył w stylu realizmu reportażowego, opierając się na rysunkach i szkicach wojennych z lat 1944–45, a od 1950 r. we własnym, oryginalnym stylu prezentującym wizję świata, w której pod fotorealizmem krył przekaz surrealistyczny i mistyczny.

• Dziękujemy pani Ann Kitz, córce artysty, za zgodę na publikację jego prac.

• Strona poświęcona jego twórczości w sieci: <http://alexcolville.ca/gallery/>

Na okładce: Milk Truck 1959 olej i żywica syntetyczna na płycie pilśniowej Copyright A.C.Fine Art Inc.

THE FACTORY AUTOMATION COMPANY

W produkcji liczą się twarde dane, a nie obietnice

Wybór miejsca
inwestycji decyduje
o zyskach

FANUC

ROI%

ZYSK

OEE 82%

OEE 82%

OEE 85%

OEE 84%

OEE 85%

WWW.FANUC.PL

A gdybyśmy mieli wolny czas?

3 PROCENT UDERZA DO GŁOWY

Jeśli motorem gospodarki są zawody neolokajskie, to może wcale nie żyjemy w kapitalizmie?



CYCLIST AND CROW 1981 AKRYL NA PŁYCE PŁYŃKOWEJ © AC.FINE ART INC.

Kacper Pobłocki

Swiat, który nas otacza, zwykle nazywamy kapitalizmem, choć samo to słowo niewiele znaczy. Każdy, kto go używa, ma co innego na myśli. Lepiej spojrzeć na to, co odróżnia nasze życie od tego, jak ludzkość funkcjonowała wcześniej. Bo mniej więcej około roku 1870 doszło do fundamentalnej transformacji. To symboliczny moment narodzin świata wzrostu. Świata, w którym wszystko dookoła nieustannie się zmienia. Który opiera się na przekonaniu, że dóbr materialnych musi nieustannie przybywać.

Przez całe tysiąclecia gospodarki rosły w skali 0,1 proc. rocznie. Przelóżmy to na język codzienności: w ciągu życia jednego pokolenia (czyli 30 lat) oznacza to zmianę rzędu 3 proc. Wyobraźmy sobie, że te

3 proc. to jakaś nowa technologia, jakiś nowy sektor gospodarki. To zmiana kosmetyczna, niezauważalna z perspektywy jednostkowego człowieka. Ludzie rodzą się i umierają, ich otoczenie pozostaje takie samo. Dopiero z perspektywy paru stuleci można mówić o istotnej transformacji.

Często można usłyszeć, że czas w kapitalizmie płynie szybciej. Ale to nie o czas, tylko o wzrost chodzi. Żyjemy w świecie permanentnej rewolucji życia codziennego. To konsekwencja jednej z żelaznych zasad kapitalizmu, która głosi: „zdrowa” gospodarka rośnie w skali 3 proc. rocznie. Gdy stopa wzrostu PKB przekracza tę wartość (jak w Chinach na przestrzeni ostatnich dekad), to mówi się o cudzie gospodarczym. Gdy spada poniżej, eksperci zaczynają wieszczyć recesję.

3 proc. rocznie to ogromnie dużo. Bo mowa tutaj o wzroście kumulowanym. Dodatkowe 3 proc. w każdym następnym roku liczy się od wartości, która właśnie urosła jak śniegowa kula. Dla jednego pokole-

nia 3 proc. rocznie przynosi zmianę w wysokości 143 proc. W ciągu 30 lat rzeczywistość zmienia się nie do poznania. Każda kolejna generacja żyje w innym świecie. Z innymi technologiami, własną kulturą, odmiennymi wartościami. Dzieci nie rozumieją świata rodziców, a rodzice nie rozumieją świata dzieci. Przy stopie wzrostu wynoszącej 0,1 proc. rocznie tego rodzaju rewolucja zajęłaby prawie dziewięć stuleci.

Skąd wzięło się przekonanie, że „zdrowy” wzrost wynosi 3 proc. rocznie? Bo taka była faktyczna stopa wzrostu przez ostatnie 150 lat. W 1870 roku Zachód (połączone gospodarki UK i USA) wyprzedził Chiny i Indie, przejmując stery globalnej gospodarki. A do tego jako pierwszym w historii udało im się utrzymać rozpędzoną maszynę wzrostu. Bo wejść na tę ścieżkę wcześniej próbowano, lecz bezskutecznie. Na przykład w średniowiecznych Chinach, w czasie pierwszej rewolucji przemysłowej w historii.

W latach 806-1078 produkcja stali per capita zwiększyła się tam sześciokrotnie. W roku 1078 Chiny produkowały 125 tysięcy ton surowca rocznie. To więcej niż produkcja Wielkiej Brytanii jeszcze pod koniec XVIII wieku. W 1080 roku mennice chińskie emitowały 6 miliardów (6 tysięcy milionów!) monet rocznie. Rocznie. Mieszkańcy miast, w zależności od regionu, stanowili nawet 37 proc. populacji. W czasach pierwszych Piastów chińska stolica liczyła 1,5 miliona mieszkańców. Zachodnioeuropejskie miasta takie jak Paryż czy Londyn miały wówczas 20 tysięcy mieszkańców, a status półtoramilionowej metropolii osiągnęły dopiero w XIX wieku.

Chińska rewolucja przemysłowa rozbiła się o ścianę ekologiczną. Bo energetyczną podstawę produkcji stanowił węgiel drzewny. A ten jest zasobem skończonym, bezpośrednio związanym z powierzchnią lasów. Rosnące zapotrzebowanie na ten surowiec doprowadziło do deforestacji, a następnie gospodarczego załamania.

W wieku XVIII Brytyjczycy skopio-
wali model chiński, włącznie z prze-
jęciem wielu technologii. Z jednym wyjąt-
kiem. Chińczycy znali węgiel i używali go
w miastach jako opału. Dlatego rozpozna-
li jego skutki uboczne w postaci smogu
i podchodzili do niego sceptycznie. Angli-
cy natomiast znaleźli w węglu rozwiązanie,
gdy deficyt drewna postawił ich pod ścia-
ną wzrostu. Już w 1850 roku, by otrzymać
z drewna tyle energii, ile w wyciskali z wę-
gla, musieliby obsadzić lasami obszar rów-
ny 150 proc. powierzchni Wysp. Gdyby nie
węgiel, brytyjska rewolucja przemysłowa
byłaby jedynie historyczną ciekawostką.

Czarne złoto, pozornie nieskończone,
stało się energetyczną podstawą nowej go-
spodarki, która, by wciąż wytwarzać no-
we dobra, konsumuje surowce na nie-
spotykaną skalę. Anglicy doskonale wie-
dzieli, że pociąga to negatywne skutki: już
w 1835 „ojciec komputerów” Charles Bab-
bage pisał, że spalanie węgla może prowa-
dzić do ocieplenia klimatu.

Wzrost jest pieśnią przeszłości. Wraz
ze wzrostem skali globalnej gospodar-

Przeszkoda nie jest natury ekonomicznej,
lecz politycznej. Bo 40-godzinny tydzień
roboczy nigdy nie miał być celem ostatecz-
nym. W USA po raz pierwszy wprowadził
go w 1914 roku Henry Ford w swoich fabry-
kach, ale już w 1933 roku w Senacie znalazł
się projekt ustawy o 30-godzinnym tygo-
dniu roboczym. Ustawa upadła jedynie ze
względu na opór pracodawców.

Wystarczy wyobrazić sobie, co by było,
gdyby dać społeczeństwu tak dużo wolnego
czasu. Dziś weekend jest od tego, by podre-
perować siły, by ludzie wypoczęci stawili się
w poniedziałek rano w miejscu pracy. Gdyby
dać pracownikom pięć dni wolnego (albo za-
łożyć, że każdy pracuje po 3 godziny dzien-
nie), to pewnie przez pierwsze parę miesięcy
odsypialiby. A potem? No właśnie – nie wia-
domo. Na pewno robiliby rzeczy nieprzewi-
dywalne. Lepiej, żeby chodzili do roboty, na-
wet jeśli nie ma takiej obiektywnej potrzeby.

Dlatego zamiast pracować krócej, pra-
cujemy dłużej. Obecnie trzy czwarte siły
roboczej w USA pracuje ponad 40 godzin
tygodniowo. Jednocześnie nasze zajęcia są
coraz bardziej pozbawione sensu. W takich

państwa mają armie. To błędne koło prze-
żenienia mięśni, w którym najważniejsze jest
pokazanie, kto się bardziej liczy.

Ale liczy się też pieniądź. Bo te wszyst-
kie czynności pozorowane wliczają się
przecież do PKB. Hannibal, konsultant me-
dyczny: „Ostatnio udało mi się uzyskać
około 12 tysięcy funtów za dwustronicowy
raport dla klienta z branży farmaceutycz-
nej, który zamierzał zaprezentować doku-
ment na spotkaniu dotyczącym globalnej
strategii”. W ustalonym czasie spotkania
dyskusja nie doszła do tego punktu, więc
nikt go nigdy nie użył. Ale przecież Hanni-
bal wykonał robotę (co z tego, że na kola-
nie, przepisując jakieś farmazony), za któ-
rą mu zapłacono. Dzięki tej pracy ściemie
dorzucono kamyczek do celu, jakim jest
3-procentowy wzrost.

Zdaniem Graebera zjawisko bullshit jobs
tłumaczy nie tylko eksplozję mediów spo-
łecznościowych (8 na 10 pracowników przy-
znaje, że korzysta z nich w pracy – pozwala-
ją zapełniać czas, markując, że się pracuje),
ale też postępującą biurokratyzację. Na Za-

85 proc. Polaków uważa, że praca to mo-
ralny obowiązek, a 91 proc. – że praca na-
daje życiu sens. Stąd kultura przepracowa-
nia, faktycznego bądź pozorowanego.

Przekonanie, że nie ma życia bez pracy,
to kolejny skutek uboczny rewolucji przemy-
słowej. I jednocześnie największa przeszkoda
w zrealizowaniu utopii Keynesa. Choć
niejedyna. Keynes zakładał, że owoce postę-
pu technologicznego będą rozdzielane rów-
no. Stało się inaczej: benefity robotyzacji
konsumowane są przez nielicznych. Nie ży-
jemy w erze bezprecedensowego bogactwa,
ale w erze bezprecedensowych bogaczy.

„Próżne ręczki diabłu sweter robią”, powta-
rzała prababka Graebera. Chciała przez to
powiedzieć, że „wszystko, co może przyjść
do głowy nastolatce w polskim sztetlu, kie-
dy nie robi na drutach, przyniesie z pewno-
ścią zgubne skutki”. Praca bez sensu odgry-
wa głównie rolę dyscyplinującą. Nie chodzi
o to, by pracować, ale by ludzie na nic inne-
go nie mieli siły.

Polskim odpowiednikiem bullshit jobs
są „dupogodziny”, czyli marnowanie cza-
su w biurach czy na bzdurnych spotka-
niach. Publicysta Jarosław Górski opisał fe-
nomen „bezsensownego, ale widocznego
zapierdolu”. To stąd jego zdaniem bierze
się powszechne w Polsce przekonanie, że
nauczyciele powinni stać przy tablicy jak
wszyscy inni – 40 godzin w tygodniu. Bo je-
śli nie stoją, to znaczy, że zbijają bąki. Stąd
nakaz przełożonych, by ekspedientka my-
ła podłogę w sklepie, nawet jeśli jest czysta,
gdy nie ma chwilowo klientów. Żeby tylko
nie postać sobie beczynnienie. Albo przypa-
dek sprzątaczk, której nakazano myć okna
gazetami i ścierką, a nie myjką. Bo przecież
jeśli szybciej wykona zadanie, to znaczy, że
płaci się jej na próżno.

Podobnie jak bullshit jobs, istotą wi-
docznego zapierdolu jest nie tyle kontrola,
ile konieczność podtrzymania hierarchicz-
nych struktur. To stąd bierze się dysonans
związany z tym, że zawody neolokajskie
stały się motorem gospodarki zachodnich
zaawansowanych gospodarek. „Jeśli istnie-
nie bezsensownych zajęć wydaje się prze-
czyć logice kapitalizmu, jednym z możli-
wych powodów ich powszechnego wystę-
powania byłby fakt, że istniejący system
kapitalizmem nie jest”, pisze Graeber. Je-
go zdaniem bardziej przypomina to feuda-
lizm „z właściwą mu tendencją do tworze-
nia niekończących się hierarchii panów,
wasali i sług”.

Feudalizm to jednak kolejne puste sło-
wo, które znaczy różne rzeczy w zależności
od tego, kto i jak go używa. W potocznym
rozumieniu feudalizm jest alegorią bezpo-
średniego przymusu, rażących nierówno-
ści i nieracjonalnych rozwiązań. W Polsce
często mówi się o „piętnie pańszczyzny”,
a bezsensowny zapierdol dla wielu jest do-
wodem na żywotność „mentalności fol-
warcznej”. Jednak dzisiejszy świat jest bar-
dziej nierówny nie tylko niż epoka feuda-
lizmu, ale też bardziej niż antyk. Nigdy
wcześniej tak mała garstka osób nie mia-
ła tak dużej władzy ekonomicznej. Być mo-
że pod względem ekonomicznym żyjemy
w kapitalizmie, ale pod względem społecz-
nym mamy turbofeudalizm.

Pomimo bezprecedensowych nierów-
ności tłumy nie gromadzą się z (przysło-
wiowymi) widłami pod domem Bezosa
czy Muska. Raz, że ludzie przepracowa-
ni nie mają czasu na działalność publicz-
ną i nie korzystają nawet z tych praw oby-
watelskich, którymi formalnie dysponu-
ją. Dwa, że zgodnie z powszechnym prze-
konaniem ci, którzy plasują się na społecz-
nym piedestale, znaleźli się tam dzięki wła-
snej pracowitości. Prezes banku co praw-
da zarabia tyle, co 138 kasjerów, ale doszedł
do tego ciężką harówką – no i wiele wnosi
do przedsiębiorstwa.

Choć badania pokazują, że nie ma żadne-
go związku między wynikami finansowymi
firm a pensjami menedżerów, im bardziej
jesteś zbędny, tym więcej zarabiasz. Dlate-
go zapierdol elit musi być dziś jeszcze bar-

Telemarketerzy, prawnicy korporacyjni, ludzie od reklamy **mogliby nie istnieć**

ki (a między 1870 a 2008 rokiem jej war-
tość poszybowała z 1 biliona do 51 bilio-
nów dolarów) taka stopa przyrostu jest nie
do utrzymania. Jednym ze sposobów na
sztuczne podtrzymanie maszynki wzrostu
stała się ekspansja sektora usług finanso-
wych, pompowanie baniek na rynkach nie-
ruchomości czy tworzenie nikomu niepo-
trzebnych dóbr czy usług. Ale to dolewanie
olivi do ognia.

Dlatego lepiej zmierzyć się z wyzwani-
em, jakim jest nieuchronność świata bez
wzrostu. Świata, w którym – z perspekty-
wy tego, jak dziś rozumiemy zmianę – nie-
wiele się dzieje. Ale ekonomiczna stagna-
cja wcale nie musi oznaczać recesji, niedo-
boru, ograniczeń, deficytów, wyrzeczeń.
Wręcz przeciwnie: świat postwzrostu mo-
że być, jak pisał John M. Keynes, „erą po-
wszechnego bogactwa”.

Nadzieja, że postwzrost może przynieść
powszechną prosperity, pochodzi z ese-
ju „Ekonomiczne perspektywy dla naszych
wnuków” z 1930 roku. Keynes sprzeciwiał
się w nim „powszechnemu pesymizmowi”,
w jakim pograżył się świat wraz z Wiel-
kim Kryzysem. Zwracał uwagę na podskór-
ne nurty dziejów, które sprawiały, że pomi-
mo chwilowych trudności ludzkość stanę-
ła przed ogromną szansą. Rewolucja prze-
mysłowa przyniosła bezprecedensową po-
prawę poziomowi życia, sprawiając, że ludzie
wreszcie nie muszą walczyć o ekonomicz-
ne przetrwanie. Takie były zalety wzrostu.

Optymizm Keynesa oparty był na za-
łożeniu, że jeśli postęp technologiczny,
a wraz z nim wzrost produktywności, zo-
stanie utrzymany, to w roku 2030 „po raz
pierwszy od chwili stworzenia człowiek
będzie musiał zmierzyć się ze swoim praw-
dziwym, niezmiennym problemem – jak
korzystać ze swojej wolności od pałaczych
trosk ekonomicznych, jak spędzać wolny
czas (...), jak żyć mądrze, harmonijnie i do-
brze”. Jako że większość pracy będą wyko-
nywały maszyny, możliwe będzie skróce-
nie tygodnia roboczego do 15 godzin.

Keynes miał rację. Pięciodniowy week-
end jest zupełnie możliwy. Choćby i jutro.

krajach jak Wielka Brytania czy Holan-
dia między 1/3 a połową siły roboczej uwa-
ża, że wykonuje tzw. bullshit job – pracę,
w której głównie chodzi o to, żeby udawać,
że coś się robi. Pojęcie to ukuł antropolog
David Graeber, autor książki „Praca bez
sensu” (2019). Zamiast zastanawiać się, jak
żyć harmonijnie i korzystać z wolności od
pracy, ludzie angażują się w zawody, które
równie dobrze mogłyby nie istnieć.

Ich lista jest długa: od telemarketerów
poprzez prawników korporacyjnych po re-
klamę. To zbędni kierownicy, tacy jak Ben.
„Mam pracę bez sensu, stanowisko zarząd-
cze średniego szczebla. Mam pod sobą
dziesięć osób, ale z tego, co widzę, wszyscy
mogliby pracować bez mojego nadzoru”.
75 proc. jego czasu pracy to przydzielanie
zadań oraz monitorowanie, czy zostały wy-
konane. Ale bullshit job to też niepotrzebni
asystenci. Taką robotę wykonywała Greta,
recepjonistka w wydawnictwie. „Telefon
dzwonił może raz na dzień”, wspominała.
Prócz tego do jej zadań należało „dbać, aby
na tacy z cukierkami nie brakowało mięt-
ówek” oraz „raz w tygodniu pójść do sali
konferencyjnej i nakręcić zegar”. Jej głów-
nym zajęciem była pomoc innej recepjon-
istce w sprzedaży produktów Avonu.

Po co ją zatrudniono? Bo jej pracodaw-
ca uważał, że szanowane wydawnictwo mu-
si mieć recepjonistkę. Inaczej nikt w bran-
ży nie traktowałby ich poważnie. Greta spe-
lniała więc funkcję dekoracyjną. Graeber na-
zywa ten rodzaj zawodu lokajskim. Klasycz-
nym tego przykładem był angielski footman,
czyli służący, który biegł przez karocą i wy-
patrywał nierówności na drodze. Pojazd do-
jechałby do celu i bez niego. Jego faktyczną
pracą było pokazywanie światu, że jego pra-
codawcy mogą sobie na niego pozwolić.

Dziś taką rolę odgrywa Jack, którego sta-
nowisko w sektorze bankowym „nie służy-
ło niczemu poza tym, że mój bezpośredni
przełożony wyglądał i czuł się jak szczyha”.
Podobnie z armią prawników, specjali-
stów od PR czy lobbystów. Każda szanowa-
na korporacja musi takich mieć, bo inne fir-
my też ich mają. Trochę jak sytuacja, w któ-
rej państwo wydaje pieniądze na budowę
arsenału wojskowego tylko dlatego, że inne

chodzie dotyczy ona bardziej sektora pry-
watnego niż publicznego. Gdy w USA po-
stulowano upublicznienie systemu ubez-
pieczeń zdrowotnych, argumentując to
wzrostem wydajności oraz obniżką kosz-
tów (publiczna służba zdrowia jest general-
nie tańsza i wydajniejsza), prezydent Ob-
ama w przypływie szczerości przyznał, że ta-
kie rozwiązanie zabrałoby pracę milionom
osób zatrudnionych w prywatnych firmach
medycznych. Niewydajność jest oplacalna.

Taki jest właśnie ekonomiczny sens pi-
sania raportów, których nikt nie czyta, albo
tworzenia etatów, na których ludzie wpro-
wadzają nikomu niepotrzebne dane. Albo
skomplikowania prostych zadań, jak w tym
przypadku. Niemiecka armia zatrudnia fir-
mę podwykonawcę do obsługi informatycz-
nej. Ta angażuje podwykonawcę od spraw
logistycznych, a ta kolejnego od spraw per-
sonalnych. Tam pracuje Kurt. „Powiedz-
my, że żołnierz A przenosi się o dwa pokoje
dalej w tym samym korytarzu. Zamiast po
prostu przenieść komputer, musi wypełnić
formularz. Podwykonawca odpowiedzialny
za IT otrzymuje formularz, jego pracowni-
cy go czytają i zatwierdzają, po czym prze-
kazują go do firmy logistycznej”.

Sprawa trafia do firmy od spraw perso-
nalnych, a następnie do Kurta. On wynaj-
muje samochód, jedzie kilkaset kilometrów
do koszar, zaplombowuje komputer, prze-
kazuje go pracownikowi firmy logistycznej,
który przenosi sprzęt do sąsiedniego poko-
ju. Obaj wypełniają sterty formularzy, po
czym Bundeswehra otrzymuje fakturę.

Tak generuje się nie tylko zbędną papie-
rologię, ale też bezsensowne emisje dwu-
tlenku węgla. Ale kółko wzrostu się kręci
– bo przecież z tych czynności żyje nie tyl-
ko Kurt oraz pracownik firmy IT, ale rów-
nież firmy wypożyczające im samochody
czy ludzie, którzy tworzą i gromadzą roz-
liczne formularze.

Nawet ci, którzy na początku cieszą się,
że niewiele muszą robić w pracy, po paru
miesiącach łapią doła. Mimo to większość
z nas godzi się na los chomików biegają-
cych po bezsensownej bieżni. Dlaczego?

Bo kapitalizm oparty jest na dogma-
cie, że praca stanowi drogowskaz życia.

dziej widoczny niż zapierdol sprzątaczek, nauczycieli czy magazynierów.

W ideologii pracoholizmu zaszyto przedziwny egalitaryzm: skoro wszyscy zapierdalają po 40 godzin w tygodniu lub więcej, to znaczy, że jest po równo. Nie jest, bo jedni za ten zapierdol dostają miesięcznie 3 tysiące (jak wspomniany kasjer), a inni ponad 416 tysięcy (jak prezes banku). Nie wspominając tych, którzy są na samym dole placowej hierarchii: pielęgniarki, sprzątaczk, przedszkolanki. Skąd taka dysproporcja? Nie da się tego wytłumaczyć logiką rynku, bo gdyby placami rządziły prawa podaży i popytu, to pielęgniarki, których brakuje, zarabiałby więcej niż doradcy podatkowi.

Kluczowe jest pozaekonomiczne wartościowanie pracy. Z nim też się zżyliśmy, choć jest wywrócone do góry nogami. Wyobraźmy sobie, że nagle znika jakiś sektor gospodarki. Na przykład maklerzy giełdowi, analitycy firm medycznych czy konsultanci korporacyjni. Co się wtedy dzieje? Nic szczególnego. A wyobraźmy sobie, że z dnia na dzień znikają ratownicy medyczni, magazynierzy czy sprzątaczk. Chaos. Gdy w 1970 roku w Irlandii sektor bankowy poszedł na sześciomiesięczny strajk, ludzie zaczęli wypisywać sobie czek i one zaczęły krążyć – okazało się, że życie gospodarcze może dalej funkcjonować bez finansjery. Gdy w 1968 roku w Nowym Jorku zastrajkowali śmieciarze, miasto już po 10 dniach ugięło się pod ich postulatami.

W międzyczasie Wall Street nauczyło się, że aby nie drażnić opinii publicznej, trzeba przebrać się w kostium pracoholika. Podkreśla, że dostarcza społeczeństwu „produktów finansowych”, a podczas krachu z 2008 roku dominowały obrazy zdruzgotanych białych kolnierzyków, którzy z dnia na dzień stracili pracę, a nie roześmianych prezesów, którzy na największym załamaniu amerykańskiej gospodarki w historii zbili fortuny. Dziś nawet brytyjska rodzina królewska twierdzi, że ciężko haruje dla społeczeństwa.

Wszyscy jednocześnie mają świadomość, że klasa próżniacza nie zniknęła. Być może ludzie po cichu zazdroszczą wilkom z Wall Street, że dzięki sprytowi zarobili tyle, że mogliby przestać pracować. „Szlachta nie pracuje” – to dziś drugi najczęstszy „zawód”, jaki Polacy deklarują na swoich profilach facebookowych. Można z tego drwić, ale to echo być może najbardziej doniosłego marzenia europejskiej klasy ludowej. Plebejskiej utopii, jak nazywał to Janusz Tazbir. Tęsknoty, że gdzieś na skraju świata istnieje kraj mlekiem i miodem płynący, gdzie nikt nie jest głodny i gdzie nie trzeba pracować. W Europie la-cinińskiej nazywano go Kukanią (od włoskiego cuccagna, czyli obfitość), na obszarach niemieckojęzycznych Schlaraffenland (Kraina Próżniaków), a w polskich karczmach chłopci opowiadali legendy o Krainie Pieczonych Gołąbków.

Chłopci marzyli o świecie bez pracy, bo obowiązków pańszczyźnianych nienawidzili, a pracą tych, którzy je w istocie wykonywali, gardzili. Publiczną tajemnicą ustroju folwarcznego było to, że to nie chłopci, ale ich służba – parobkowie i dziewczki, a także dzieci – wychodziła na pańskie. Dziś mamy obraz chłopca pańszczyźnianego jako oracza czy żniwiarza, ale tego rodzaju zajęcia stanowiły tylko finał ogromnego wysiłku. Głównie kobiet. Bo to one sprzątały, gotowały, pielili, zajmowały się ogrodem. Podobnie jak ludzie, którzy pracowali na sukces PRL-owskich przodowników pracy, podając cegłę czy robiąc murarską zaprawę, wysiłek służby, a zwłaszcza chłopek, pozostawał w cieniu. Wyżej w hierarchii wartościowania pracy był chłop, który w najbardziej widoczny sposób przyczyniał się do wyprodukowania zboża. A to liczyło się najbardziej dla szlachty.

Jak pokazał Padraic Kenney w książce „Budowanie Polski Ludowej” (2015), PRL-owska propaganda samotnego przodownika pracy, przedstawiająca wysiłek całego zespołu jako heroiczne osiągnięcie jednostki, służyła rozbijaniu solidarności między robotnikami. Takie selektywne wartościowa-

nie pracy pochodzi z czasów przednowoczesnych, ale zostało wzmocnione podczas rewolucji przemysłowej. Okrzepło wtedy przekonanie, że tylko praca, która przynosi widoczne i natychmiastowe efekty, jak produkcja w fabryce, jest społecznie wartościowa. Stąd znany model: on pracuje na taśmie, ona zajmuje się domem i dziećmi. I to on jest pełnoprawnym członkiem społeczeństwa. I nawet, jeśli kobiety wykonywały tego rodzaju pracę zawodowo, to uważano, że skoro efekty pracy przedszkolanki nie są od razu widoczne ani też nie da się ich łatwo zmierzyć, ani tym bardziej pokazać, że wykonała ona 1000 proc. normy, to znaczy, że ta praca ma mniejszą społeczną, a przez to i ekonomiczną, wartość.

To przedziwne rozumienie pracy. Bo przecież filizankę produkujemy tylko raz, ale myjemy tysiące razy. Dlaczego ten pierwszy wysiłek ma mieć większą wartość? Zwłaszcza że jeśli produkcja coraz to większej ilości towarów szybkiej i jednorazowej konsumpcji ma przestać być priorytetem, to właśnie praca opiekuńcza powinna stać się filarem gospodarki. W tym sektorze zawiera się i szewc, i „złota rączka”, który naprawi nam zepsutą pralkę, żeby jej nie wyrzucić i nie kupować sobie nowej. Jeśli mamy zrezygnować ze wzrostu PKB jako priorytetu ekonomicznego, to ogrodnik, przedszkolanka czy pielęgniarka powinny być zawodami przyszłości.

Dziś lewica wciąż mówi o tym, że należy albo chronić, albo stwarzać miejsca pracy, prawica zaś piętnuje próżniaków (imigrantów, którzy rzekomo „zabierają pracę” miejscowym). Tymczasem prawdziwym wyzwaniem jest pożegnanie się z pracą taką, jak dziś jest rozumiana. Bo w czasach postwzrostu problem dobrobytu nie jest już sprawą produkcji, ale dystrybucji. Innego



**Głęboki egalitaryzm
nie jest wcale sprzeczny
z postulatami wolnościowym.
Równość ekonomiczna
nie oznacza przymusu
„zrównywania” ludzi
do najniższego
wspólnego mianownika,
uniformizacji,
zabijania indywidualizmu**

rozdzielenia zasobów, które zostały już wytworzone.

Wielu czytelników pewnie podnosi teraz brwi. Jak to? Płacić sprzątaczkom tyle, ile menedżerom w korporacji? Niekoniecznie. Bardziej stworzyć świat, w którym to, jaką wykonujesz pracę, nie stanowi ani o twojej społecznej wartości, ani tym bardziej nie determinuje życiowych wyborów.

Taki głęboki egalitaryzm nie jest wcale sprzeczny z postulatami wolnościowym. Równość ekonomiczna nie oznacza przymusu „zrównywania” ludzi do najniższego wspólnego mianownika, uniformizacji, zabijania indywidualizmu. Wręcz odwrotnie. Dopiero świat, w którym nie ma znacze-

nia, czy pracujesz jako przedszkolanka, czy specjalista od PR, jest światem prawdziwej wolności. Bo wtedy każdy może wybrać taki zawód, jaki chce.

Dziś żyjemy wolnością pozorną. Mamy system, w którym ludzie zagryzą zęby i wybiorą albo pracę bez sensu, albo taką, którą niespecjalnie lubią, ale która daje przyzwolite wynagrodzenie.

Nie tylko żyjemy, by pracować, ale też pracujemy, aby przeżyć. To historyczne novum, które okrzepło około 1870 roku. To wtedy na całym świecie zaczęto odchodzić od przymusowych form organizacji pracy (koniec pańszczyzny w Polsce w 1864 roku, niewolnictwa w USA w 1865), a upowszechniła się praca najemna. Bezpośredni przymus fizyczny został zastąpiony pośrednim przymusem ekonomicznym. Dziś możemy wybrać sobie rodzaj pracy, ale nie mamy możliwości życia bez pracy jako takiej.

Kraina Pieczonych Gołąbków może była fikcyjna, ale przed 1870 rokiem istniało wiele obszarów, gdzie można było żyć bez nadmiernego wysiłku. Góry, gdzie żyło się z pasterką, lasy – tam uciekano przed pańszczyźnianą niewolą. Często zakładano tam demokratyczne wspólnoty. James Scott w książce „Jak udomowiono człowieka” (2020) pokazuje, że mniej więcej do 1600 roku większość ludzkości żyła właśnie w takich „beipaństwach”. Największym takim obszarem w naszej części świata, który jak magnes działał na „próżniaków”, „hultajów” czy „nie-robotów”, była Ukraina. W skali mikro to mogło być gospodarstwo chłopskie bliskie samowystarczalności dzięki ogrodowi.

Niezależność, jaką gwarantuje własny kawałek ziemi, tłumaczy, dlaczego w Polsce tak długo utrzymywało się drobne rolnictwo. Nawet w PRL-u tak zwani chłoporobotnicy nie byli w pełni zależni od pracy zarobkowej, bo zawsze mogli wrócić na własne gospodarstwo.

To już przeszłość. Dzisiaj żywności nie wytwarzamy, ale ją kupujemy. A do tego potrzeba pieniędzy. Otrzymujemy je za pracę. By mieć dach nad głową, zaciągamy kredyty na 30 lat. Choć wydaje nam się, że jesteśmy bardziej wolni od chłopów pańszczyźnianych, to ci, gdyby przeteleportować ich do współczesnego świata, wcale by nie byli tego tak bardzo pewni. Nikt co prawda nie zmusza nas biciem, abyśmy w poniedziałek rano stawili się do pracy, ale pokora, z jaką to robimy, i warunki, na które niby się godzimy, byłyby dla nich szokujące. Kapitalizm wyciągnął ludzkości spod stóp dywan egzystencjalnego bezpieczeństwa.

Polski robotnik doby stanisławowskiej, pisała Nina Assorodobraj, „pracuje wtedy, gdy musi, gdy nie ma już grosza przy duszy”. Miejska czeladź pracowała, jeśli mogła, trzy do czterech dni w tygodniu. „Względna łatwość przeżycia, dzięki jałmużnie czy gościnności, chroni najemnika przed sytuacją przymusowego przyjmowania pracy na jakichkolwiek warunkach”. Pracowano za grosze, ale tego, czego brakowało, aby przeżyć, otrzymywano od innych. Taki był społeczny sens jałmużny: nie było w niej nic wstydliwego, traktowano ją jako instytucję opiekuńczą. Klasy ludowe rozumiały kluczowość dystrybucji. Konieczność przeciwdziałania sytuacji, w której ktoś głodem lub widmem utraty dachu nad głową jest zmuszany, aby pracować.

Trudno oczywiście odtworzyć warunki sprzed rewolucji przemysłowej, ale istnieją współczesne narzędzia, które umożliwiają likwidację głodu i bezdomności jako głównych motywacji do pracy. Najlepszym jest radykalne skrócenie czasu pracy, nawet do 15 godzin tygodniowo. Jest też bezwarunkowy dochód podstawowy oraz gwarancja zatrudnienia.

Zwolennicy dwóch pierwszych rozwiązań zwracają uwagę, że ludzie uwolnieni od przymusu pracy nie będą przez większość tygodnia oglądać telewizji, ale oddadzą się czynnościom, które będą w większości społecznie użyteczne. Czy to będzie pisanie wierszy, dyskusja z sąsiadami,

uprawianie ogródka czy zabawa z dziećmi, nie ma większego znaczenia.

Choć zarówno w polskiej, jak i wielu innych konstytucjach istnieje zapis nakładający na państwo obowiązek likwidacji bezrobocia, to przez ostatnie dekady traktowano bezrobocie jako zło konieczne nowoczesnej gospodarki. Już polski ekonomista Michał Kalecki w 1942 roku pokazywał, że bezrobocie nie ma ekonomicznego uzasadnienia, ale spełnia wyłącznie funkcję dyscyplinującą, i postulował wprowadzenie polityki pełnego zatrudnienia. Jak mogłoby to wyglądać we współczesnym świecie, opisuje Pavlina Tcherneva, autorka książki „W sprawie gwarancji zatrudnienia” (2021). Nie chodzi o zmuszanie ludzi do pracy, ale o danie wszystkim, którzy tego chcą, możliwości zatrudnienia. Ekonomiczną zaletą tego rozwiązania jest skuteczne przeciwdziałanie cyklowi ekspansji i kryzysów, które miotają kapitalistyczną gospodarką. Społeczną natomiast to, że sektor publiczny (najlepiej samorządy) mógłby stworzyć realną alternatywę dla korporacyjnych prac bez sensu. A jednocześnie wyjść na przeciw wyzwaniami, które przed nami stoją: starzenie się społeczeństwa połączone z katastrofą klimatyczną. Można sektor ten nazwać opiekuńczym, od pielęgniarek i ratowników medycznych po osoby budujące zapory przeciwpowodziowe i udzielające pomocy migrantom klimatycznym.

Od lat 90. krąży po świecie widmo gospodarki postindustrialnej. Na Zachodzie powtarzano mantrę o gospodarce opartej na usługach, choć na razie wdrożono tylko jej groteskową wersję w postaci bullshit jobs.

W międzyczasie w krajach Globalnego Południa odbyła się największa rewolucja przemysłowa w dziejach ludzkości. Od 1980 roku dzięki industrializacji w takich krajach jak Chiny czy Indie do szeregów globalnej siły roboczej dołączyły 2 miliardy osób. Brytyjska rewolucja przemysłowa to w porównaniu z tym pikuś. Ale, jak przypominają Tcherneva, czasy strategii gospodarczej opartej na eksporcie (czyli produkcji) odchodzą i tam do przeszłości. Nawet czempion wzrostu jak Chiny (które przez ostatnie cztery dekady utrzymywały wzrost w okolicach 10 proc.) dostaje zadyszki.

Potrzebny jest świat, w którym nie warto wytwarzać dla samego wytwarzania, a oplać się dbać o to, co już jest. Świat, w którym na społecznym i ekonomicznym piedestale jest przedszkolanka, pielęgniarka czy ogrodnik. Aby do niego dojść, potrzebna jest rewolucja – ale w naszych głowach. Bo z ekonomicznego punktu widzenia jest już na wyciągnięcie ręki. ●

Kacper Pobłocki

● antropolog społeczny. Jego praca „Kapitalizm. Historia krótkiego trwania” (2017) otrzymała nagrodę Economicus dla najlepszej polskiej książki ekonomicznej roku. W tym roku wydał „Chamstwo” o życiu w pańszczyźnianej Polsce. Pracuje na Uniwersytecie Warszawskim.

